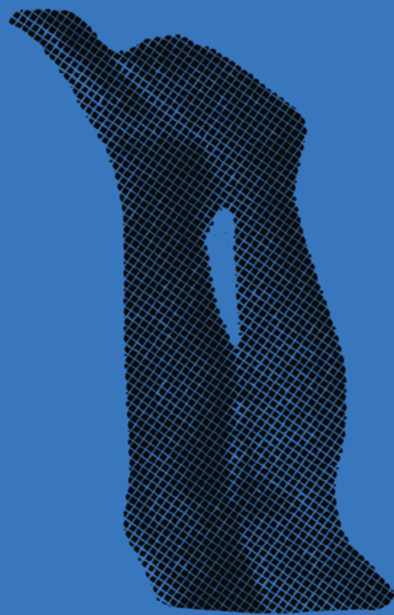


# FAMIASTO

47. Festiwal Fama, nr 3/3



Mięsz myśli. 03  
Świnoujska wyspa poetów s. 11  
Torpeda Ludu s. 20

# Spis treści

03 Miąsż myśli

05 Fama ma psa, kota i dwie fajne dziewczyny

08 W areszcie pismaków

09 Niecierpliwym czas sprzyja w dziwny sposób

11 Świnoujska wyspa poetów

13 Smacznego – co i jak jemy na Famię

15 Debiutant na festiwalu. Odc. 6

16 Jak to było? – reportaż

19 Punkt zwrotny

20 Torpeda Ludu

**Naczelną:**

Monika Stopczyk

**Współpraca:**

Karol Maliszewski  
i Marek Osajda

**Projekt okładki  
i layoutu:**

Kaja i Piotr Depta-Kleśta

**Opracowanie graficzne  
i skład:**

Paulina Motwicka

**Redakcja Famiasta:**

Agnieszka Budnik, Aleksandra Fedorczyk, Łukasz Gamrot, Joanna Hała,  
Maria Kądzielska, Joanna Łepicka, Dawid Panic, Witold Regulski

**Redakcja Torpedy Ludu:**

Łukasz z Bałut, Agnieszka Budnik, Aleksandra Fedorczyk, Mateusz Górniak,  
Agnieszka Horodyska, Maria Kądzielska, Piotr Marzec, Dawid Panic, Marta Wojtyra

**Wydawca:**

47. Festiwal Fama

[www.fama.org.pl](http://www.fama.org.pl)

[www.facebook.com/famiasto](https://www.facebook.com/famiasto)

[www.instagram.com/famiasto](https://www.instagram.com/famiasto)

# Miąższ myśli

Z Grzegorzem Uzdańskim, autorem powieści *Wakacje*, famowiczem i tegorocznym gościem festiwalu, rozmawiam o Szymborskiej, Facebooku, kłamstwach debiutujących pisarzy i nieszczęśliwej miłości.

**Joanna Łepicka:** Czy nie jest trochę tak, że książka *Wakacje* stanowi prezent dla ciebie samego? Interesuje mnie to, w jaki sposób patrzysz na kwestię pisania i popularności.

**Grzegorz Uzdański:** Ale ja bardzo chciałbym, żeby moja książka była popularna, żeby ludzie ją czytali i żeby im się podobała! I teraz przepraszam, że zdobędę się na generalizację, która może być fałszywa, ale w moim przypadku to jest prawdziwe stwierdzenie: jak ktoś mówi, że go nie obchodzi opinia ludzi na temat jego książek, to jest to kłamstwo. Napisałem książkę używającą strumienia świadomości jako sposobu opowiadania, a wiadomo, że to nie jest popularne. Oczywiście starałem się, żeby to było nowatorskie, ale nie w sensie, że strumień świadomości jest nowatorski – bo tego używało mnóstwo autorów wcześniej – ale chciałem, żeby to było w moim własnym stylu. Na ile się to udało, nie mi oceniać. Uwielbiam ten sposób narracji, wydaje mi się on niezwykle ciekawy, jakoś tam pasujący do impresjonizmu czy różnych abstrakcjonizmów w malarstwie. Tak, jak się eksploruje w malarstwie kolor albo plamy świetlne – nie patrzymy na gotowy obraz, tylko robimy zbliżenie na to, co się dzieje. Nie ma tu też tej w pewnym sensie wyższościowej postawy boga-narratora, który mówi, że „Wokulski bardzo się martwił”, niczego oczywiście nie ujmując *Lalce*, która jest wspaniałą powieścią. Chodzi o to, że tam mamy nadrzędną instytucję narratora. A mi się wydaje bardzo ciekawe zejście do takiego „miąższu myśli”. Ceną za to jest oczywiście to, że gdyby *Lalkę* napisać w strumieniach świadomości, to...

**To byłaby to inna książka.**

Tak, ale to byłaby również książka, w której czytelnicy musieliby się mnóstwa rzeczy domyślać. Byłaby w pewnym wymiarze może trudniejsza, bo gdyby się zanurzyło w myślach Wokulskiego – i tak samo Izabeli Łęckiej albo Rzeckiego – to byłaby to jakby magma, z której trzeba nawet ich uczucia, zazwyczaj jakoś tam nazywane przez narratora, samodzielnie wydobyć.

**Rozumiem, że chciałeś po prostu pokazać coś w procesie, a nie nazywając. I to jest niezwykle interesujące, bo otwiera kolejne przestrzenie interpretacji. Też piszę, więc ta rozmowa jest dla mnie próbą zajrzenia w to, co ty myślisz pisząc. I zaskoczyło mnie, że przy**

**takiej popularności fanpage’a „Nowe wiersze sławnych poetów” w paru wywiadach powiedziałaś, że pisanie twoich własnych wierszy ci nie wychodziło. Bardzo ciekawe, bo to pokazuje, że gdybyś pisał na przykład 50 lat temu, to z takim talentem – wtapiając się w cudzą poetykę – nie mógłbyś zrobić czegoś, co nie byłoby po prostu wtórne wobec innego poety. Mógłbyś zostać drugim „kimś tam”.**

W tej chwili jest strasznie silny trend – i przepraszam, że brzmi to trochę jak mądrzenie się – że wszystko, co robimy, to jest gra z poprzednikami, konwencjami i tak dalej. Bardzo mocna jest też kwestia „remiksu”, „przetwarzania” – na ile to jest nowatorskie, na ile nie – co wychodzi w muzyce, jak i we wszystkim. Gdyby się tak przez chwilę uczepić tego, co powiedziałaś, to 50 lat temu mamy rok ‘67. Wiadomo, że nie ma Facebooka, nie ma może aż tak rozwiniętej kultury robienia pastiszy, mashupów, remiksów – teraz to jest dużo mocniejsze i tutaj się z tobą zgadzam. W takim sensie myślę, że to co ja robię, wpisuje się w szerszy nurt. Chociaż z drugiej strony, ludźmi, którzy mnie zainspirowali byli Tuwim i Słonimski, piszący podobne rzeczy w dwudziestolecium międzywojennym. Kiedyś przecież też to robiono i to zależy, czy bym to pisał w Polsce czy za granicą i kiedy, ale pastisze zawsze były obecne.

**Zauważ, że wszyscy poeci, których wymieniasz, pisali też własne wiersze. Ty takiego tomu nie wydałeś. A właściwie wydałeś, ale w liceum.**

Różnica jest taka, że ja zacząłem pisać „Nowe wiersze...” nie będąc osobą, która ma własny dorobek. Zresztą, ja też za bardzo nie starałem się podpisywać pod tymi tekstami. Na stronie widniało moje nazwisko, ale nie każdy o tym wiedział. Ludzie w komentarzach bardzo często pisali do mnie per „wy”, to znaczy, że wydawało im się, że to wielu ludzi pisze. To naprawdę sprawiało mi próżną radość, chociaż to trochę głupie i żalosne. Równocześnie próbuję coś pisać i tworzyłem swoje rzeczy jeszcze przed „Nowymi wierszami...”. Taka historia, którą już w paru wywiadach opowiadałem: miałem już dwie książki, które chciałem wydać, jedną z nich były *Wakacje*. No i nic nie wychodziło. Posyłałem te *Wakacje* wszędzie i nikt ich nie przyjmował. Wtedy mój przyjaciel, Maciej Kaczyński, który jest m.in. współtwórcą, razem z Patrykiem Brylińskim, fanpage’a „Facecje”, powiedział



Fot. Alicja Sawicka

mi: „Słuchaj Grzesiek, ty posyłasz jako zupełnie nieznanego koleś swój tekst do wydawnictw, nikt tego nie czyta. Zyskaj popularność w Internecie, potem pošlij swój tekst do wydawnictwa, będziesz już znany i ci to wydadzą”. No i można powiedzieć, że się do tego zastosowałem. Oczywiście długo nie wiedziałem co to może być. Potem pomyślałem, że ja lubię te pastisze: może tego spróbuję? I nagle zaskoczyło. Więc w tym sensie to nie było tak, że ja pisałem wiersze na fanpage nie mając własnych rzeczy, bo już wtedy miałem napisaną powieść *Wakacje*. Później oczywiście ją poprawiłem, bo miałem więcej czasu. Myślę, że przez fakt, że mi jej wcześniej nie wydali, to jest lepsza książka. Różnica była może taka, że ja stałem się znany dzięki „Nowym wierszom...”, nie będąc znany dzięki niczemu innemu.

#### **A to nie sprawia, że robisz się niezadowolony z tego źródła swojej popularności?**

I tak i nie. Oczywiście, że jestem z niej bardzo zadowolony, bo to jest super, ale zdarzyło się też z jedno takie spotkanie autorskie, że przez sekundę rozmawialiśmy o *Wakacjach*, a potem prowadzący przeszedł do „Nowych wierszy...”, i wtedy było mi trochę przykro, że tak to się potoczyło. Ale było też świetnie poprowadzone i sprawiło mi wielką przyjemność.

**To dobrze pokazuje pewną szczelinę między rodzajami twojej twórczości. Pomiędzy tym, co jest pisaniem twórczym, a pisaniem odtwórczym.**

Mnie się strasznie podobało, jak mój przyjaciel powiedział kiedyś o tych wierszach, że ich celem jest coś takiego, że one troszeczkę robią szpagat: bo to jest śmieszne, i ma być śmieszne, że Szymborska pisze dajmy na to o Facebooku, ale jednocześnie ja piszę te wiersze bardzo szczerze i one mają być szczerze. Np. utwór „Rok”, traktujący o wchodzeniu na Facebooka osoby, która cię rzuciła. Gdy pisałem ten wiersz, moja przyjaciółka bardzo się z tego śmiała, że to takie oddanie Pawlikowskiej-Jasnorzewskiej. A jednocześnie faktycznie jest w tym gdzieś moja historia, bo ja naprawdę to robiłem. I w tym sensie ten wiersz był bardzo na serio. Ja w ogóle bardzo często piszę te wiersze w taki sposób, że to jest serio.

**No bo jak inaczej można pisać wiersze? Swoją drogą, to mój ulubiony wiersz na tej stronie.**

No wiesz, ale to są pastisze. To są zabawy. Dwa pierwsze wiersze – Herberta i Szymborskiej były totalnie do śmiechu i mam wrażenie, że to trochę poważniało z czasem. Chodzi właśnie o ten rozkrok, że jakby spojrzeć na to z jednej perspektywy, to jest śmieszne, jak z drugiej, poważne. Co do wiersza „Rok” – bo rozumiem, że on jest twoim ulubionym nie dlatego, że cię najbardziej bawi, tylko dlatego, że jakoś cię porusza – to bardzo mi się podobało, jak jedna dziewczyna napisała na blogu, że to jest zajebiste oddanie tego, że romantyczność występuje też w dzisiejszych środkach przekazu. Tego, że taka rzecz jak wchodzenie na czyjś profil też jest romantyczna i to w takim starym stylu. Współczesne środki przekazu nie tylko nie przeciwstawiają się temu klasycznemu pojęciu romantyczności, tylko to właśnie jest taka romantyczność...

**Taka jak zawsze.**

No właśnie. Jest to, tak samo jak wcześniej, wspomnienie nieszczęśliwej miłości. Tylko, że ma jeszcze jedno piętro: nie ma też co przesadzać z tą powagą, mimo wszystko. To jest bardzo dziwne z „Nowymi wierszami...”. Nawet, jeżeli wiersz „Rok” może się wielu osobom bardzo podobać, bo oddaje ich uczucia – mi samemu oddaje moje uczucia – to nie należy zapominać o tym, że jak byśmy oceniali go literacko, przez chwilę zapominając, że jest pastiszem i nagle zaczęli go oceniać pod kątem formalnym, to on jest zły. A dlaczego jest zły? Bo jest wtórny wobec Jasnorzewskiej. Bo jest epigoński. On nie jest epigoński, tylko jest czymś fajnym, tylko tak długo, jak długo to jest zabawa.

Joanna Łepicka

# Fama ma psa, kota i dwie fajne dziewczyny

Pomaganie wcale nie jest takie trudne, czasami wystarczy trochę wolnego czasu i dobry pomysł. Któżby przypuszczał, że nawet na festiwalu kulturalnym można zrobić tak wiele, tak małym kosztem. Poznajcie akcję „Psa ma Fama” od podszewki.

Dwa razy w życiu byłam w schronisku dla zwierząt. To był mój drugi raz. Ania Poznańska i Kasia Duraj podczas tegorocznego festiwalu powołały do życia fantastyczną inicjatywę o nazwie „Psa ma Fama”. Pojechałam więc z nimi do schroniska dla bezdomnych zwierząt w Świnoujściu, aby przyrzeć się ich pracy. Miejsce położone jest niemal w lesie na obrzeżach miasta. To niepozorny, skromny budynek, kilka boksów, jeden wybieg dla kotów. Gdy weszliśmy do środka, nikogo nie zastałyśmy. Po kilku minutach ruszyłam do oglądania klatek ze zwierzętami, z niepohamowaną beczelnością zaglądając do każdej z nich. We wszystkich zastałam jakieś psie lub kocie nieszczęście. Nie ma przesady w opowieściach o tym, że w schronisku wyczuwa się przytłaczającą tęsknotę, że każde ze zwierząt mimowolnie niemal krzyczy do przechodzących: „weź mnie ze sobą”, „proszę nie zostawiaj mnie”. Z pierwszego boksów po prawej stronie patrzył na mnie średniej wielkości, ciemny pies – miał mądre oczy, był całkowicie spokojny. Potem dowiedziałam się, że Killer straszy każdego z potencjalnych właścicieli, chociaż na spacerze to największa przytulanka. Kolejna klatka to jak strzał prosto w serce: duży czworonóg, przypominający husky’ego z połamanymi przednimi łapami, z zaropiałymi oczami i takim spojrzeniem, że chce ci się wyć z rozpacz. Jest przykładem psiaka pochodzącego z pseudohodowli. Wygląda jak husky, ale nie jest psem rasowym, ma trudności z chodzeniem. Patrzył mi w oczy z cierpieniem oraz rezygnacją. W końcu z przeciwległej strony ośrodka dobiegło do mnie natarczywe piszczenie, więc uległam mu i skierowałam się w jego kierunku. Łapki oparte o kratę, merdający na wszystkie strony ogonek i błagalne wycie, aby go wypuścić. „Ciebie, szczeniaku, ktoś przygarnie w trzy sekundy. Jesteś prześliczny” – pomyślałam ze spokojem. Wróciłam do budynku, bo mimowolnie zaczęłam rozważać, jak taki piesek wychowywałby się z moim kotem. W środku nie było jednak o wiele lepiej. Korytarz wypełniał rozdzierający miaukot obdzieranego ze skóry kociaka. Choć byście mieli zatwardziałe serca wieloletnich cyników, pobieglibyście mu na ratunek. Tygodniowy kotek uwiesił się prętów klatki i odgrywał dramat z prośbą o uwolnienie. Nic mu nie doskwierało, prócz braku troskliwej matczynej opieki oraz samotności.

Z dziennikarską szczerością przyrzekam, że to co się wydarzyło od tego momentu, nie jest fikcją, czy zmyśleniem w celu zmiękczenia serc czytelników „Famiasta”. To się zdarzyło naprawdę. W kocim żłobku nakryła mnie Jola – jedna z pracowniczek schroniska. Była całkowicie zaabsorbowana drugim tygodniowym kociakiem zamkniętym w klatce po lewej stronie. Na mnie nawet nie zwróciła uwagi. Usłyszałam tylko, jak mówi pod nosem: „on był już zimny dziś rano”. Maluch rzeczywiście nie wyglądał najlepiej – nie mógł ustać na łapkach. Jola położyła go na poduszce na słońcu i zaczęła delikatnie masować. Kot rybimi ruchami otwierał i zamykał pyszczek, widać było, że się dusi. „Tylko tak mogę mu pomóc” – wytłumaczyła dziewczyna. Niedziela, godzina 11:00, na miejscu nie było weterynarza, jedna Jola odbywała dyżur, a stan zwierzaka nagle dramatycznie się pogorszył. Nieustannie masowała mu klatkę piersiową, aby wspomóc oddychanie, kotek wpadał w konwulsje, dusił się, dziewczyna płakała. Nic tam po mnie, wypadłam z pomieszczenia. W tym momencie niemal zderzyłam się z panem wyglądającym na miejskiego pijaczka, który z plastikową torbą rozglądał się po pomieszczeniu. Zmierzył mnie się surowym wzrokiem, a ja szybkim spojrzeniem omiotłam moją torebkę, którą zostawiłam w holu. Pan poszedł zajrzeć do boksów. Na jego widok Killer zaczął ujadać z pełną mocą, jednak mężczyzna bez jakichkolwiek oznak lęku, obserwował go przez kraty. Przekładał z rąk do rąk plastikową torbę. W rezultacie intruz wrócił do holu i rzucił w przestrzeń pytanie: „Kto tu pracuje?”. Stałam cicho, ze wzrokiem spuszczonej w ziemię, w końcu byłam w schronisku od 10 minut, to nie moja broszka angażować się w tutejsze sprawy. Pan czekał. Wiedziałam, że zapłakana Jola reanimuje kociaka. Nie przyjdzie tutaj w tym momencie. – Czego Pan szuka? – zapytałam, kiedy panująca cisza stała się nieznośna. – Psa przyniosłem – odpowiedział mężczyzna. – Mam go tutaj ze sobą. Ktoś go zostawił przy rynku – dodał i otworzył przede mną plastikową torbę. Tam zwinięty w kłębek szczeniak z powykęcany łapkami. Piszczął. Czulałam, że robi mi się słabo. Poszłam po Jolę. Wzięłam na siebie masaż kotka, by ona mogła zająć się szczeniakiem. Dziewczyna cała czerwona na twarzy, zgodziła się bez wahania. Co jeszcze mogło się wydarzyć? Miałam wystarczającą porcję mocnych wrażeń. Skupiłam

się na miarowym masowaniu czarnego, puchatego ciała. Obserwowałam, jak nie może zaczerpnąć powietrza, jak walczy o każdy oddech, chwilami troszkę pomiaukuje: – Dasz radę – zachęcałam go cichutko. – Dawaj, wytrzymasz – szeptałam. Obok mnie pojawiła się Jola ze szczeniakiem na rękach. Mały wtulał się w jej ramiona, nie widać było jego pyszczka, był absolutnie spokojny. Opiekunka gładziła go delikatnie. – Może tata pozwoli mi cię wziąć na noc? – pytała szczeniaczka Jola, która sama dotknięta jest niepełnosprawnością. – Razem będziemy chorować – dodała i przytuliła go jeszcze mocniej. Widziałam, że piesek miał poprzekręcaną każdą z łapek. Makabryczny widok. Urodził się taki, czy ktoś mu zrobił krzywdę? Tego nie wiedziałyśmy. Nawet nie chciałam o tym myśleć. Kotek pod moimi palcami wyginał się w cierpieniu. Nie wiedziałam, jak mu pomóc. Czekałyśmy na weterynarza.

Kiedy siadam do rozmowy z Anią Poznańską i Kasią Duraj, to już nawet nie czuję sensu, by pytać o motywacje ich działań. Już doskonale rozumiem, dlaczego angażują się w pomoc bezdomnym zwierzętom. Dwie godziny spędzone w schronisku, tkwią we mnie, jak cierń i ciężką poczuciem obowiązku. Dowiaduję się od dziewczyn, że kotek nie przeżył tego dnia, był za słaby. Takie są brutalne prawa natury, że nie wszystkie maluchy z miotu mają szansę osiągnąć dorosłość. Szczeniak też prawdopodobnie

będzie uśpiony, bo nie jest w stanie ustać o własnych siłach, nigdy nie będzie samodzielny. Chcę krzyknąć, że to strasznie niesprawiedliwe, że tak nie powinno się dziać, ale jedynie kiwam ze zrozumieniem głową. Kasia tłumaczy mi, że wiele takich psów, które wyglądają na rasowe, rodzi się z ciężkimi wadami genetycznymi w nielegalnych hodowlach. Z wiekiem, gdy ich problemy dają o sobie znać, właściciele się ich pozbywają. – Dlatego nie należy kupować zwierzątek z pseudohodowli. To nie są psy rasowe, a w typie danej rasy. Często jednak zupełnie inaczej się zachowują i mają wiele problemów, chociaż są niejednokrotnie cztery razy tańsze niż te z rodowodem – wyjaśnia. Z kolei jeśli chodzi o bezdomność kotów, to jej powodem najczęściej jest niekontrolowane rozmnażanie, stąd tak kluczowe okazują się sterylizacje. Dziewczyny będą zachęcać władzę miasta, aby i tu odbyła się darmowa sterylizacja czworonogów, bo największym problemem schroniska w Świnoujściu są właśnie bezpańskie koty. Obecnie ponad dwadzieścia szuka domu, głównie to dojrzałe mruczki.

– W projekcie „Psa ma Fama” chodzi przede wszystkim o aktywizację schroniska w Świnoujściu. Jest to kolejne miejsce, do którego Fama może dotrzeć jako festiwal, bezpośrednio angażujący się w życie lokalnej społeczności – tłumaczy Ania. Opowiada o ich głównej akcji, którą są „Psacery”. Każdy z Famowiczów, mieszkańców czy



wczasowiczów w Świnoujściu może pojechać do schroniska i wyprowadzić wybranego czworonoga – poświęcić mu czas, wybiegać go. – Jeśli psy mają dużo kontaktu z człowiekiem, łatwiej znajdują stałych właścicieli – dodaje. Poznańska i Duraj robią coś podobnego w Krakowie, gdzie mieszkają na co dzień. Prowadzą Studencki Dom Tymczasowy dla bezdomnych kotów. Przygarniają kociaki ze schroniska i pozwalają im zamieszkać u siebie w domu, a następnie prowadzą dla nich kampanie w mediach społecznościowych, by tym sposobem znalazły stałych właścicieli. Tak ofiarowały nowe życie już osiemdziesięciu podopiecznym, a obszar ich aktywności wciąż się rozrasta. Każdy mieszkający w Krakowie i okolicach może zaangażować się w ich projekt.

Tegoroczna działalność dziewczyn na Famię ma jeszcze dwie odslony. Ania i Kasia stawiają na pomoc Charliemu – niepełnosprawnemu psu, który miał zostać uspio-ny, ale znalazła się sponsorka, która ufundowała mu wózek. Przetrwanie zimy w schronisku będzie jednak dla niego bardzo trudne. To ciepłe, piękne zwierzę potrzebujące wiele miłości, którą jest gotowy z nawiązką

odwzajemnić. Dziewczyny będą spacerowały z Charliem po świnoujskim deptaku, czyniąc z niego lokalnego celebrytę. W końcu w pomaganiu wszystkie chwytły dozwolone. Ostatnią inicjatywą realizowaną w schronisku jest mural. Ma on wnieść do tego smutnego miejsca trochę światła i uczynić go przyjemniejszym dla odwiedzających. Może za jego sprawą więcej osób wybierze się do schroniska i znajdzie nowych kudłatych członków rodziny. Jeśli zatem zadajecie sobie pytanie, czy można wyjść do ludzi i zwierząt z ciekawą inicjatywą, to odpowiedź z pewnością jest twierdząca. Ania Poznańska i Kasia Duraj są tego dowodem. Aż serce rośnie, a na dupsku wyskakują wrzody ze wstydu i lenistwa. Czas zamknąć „Famiasto” i wybrać się na psacer. W końcu nic nas to nie kosztuje. A do was, gnojki którzy porzucacie szczeniaki w plastikowych siatkach przy rynku lub na śmietnikach i do was, którzy wywozicie zwierzaki do lasu przed wyjazdem na wakacje – tak, o was mówię, niech wam wypadną wszystkie włosy i zęby, bo funta kłaków bym za was nie dała.

Maria Kądzielska  
Fot. Artur Kucharczak



# W areszcie pismaków\*

Jest wieczór, kolejną godzinę leżę na podłodze z laptopem i jestem w zaawansowanej fazie tworzenia tekstu. Do pokoju wchodzi w imprezowym nastroju David, żeby spojrzeć na mnie i Witka ze współczuciem. Na Oflagu instrumenty i flaszki poszły już w ruch, a my wciąż zastanawiamy się nad właściwą konstrukcją zdania, kłócimy o tytuł wywiadu i dywagujemy na temat odpowiednich cięć rozmowy.

Kiedy wychodzę robić kolejną kawę, od czasu do czasu spotykam na korytarzach znajomych z sekcji dziennikarskiej. Są bladzi, zmęczeni i wiedzą jedno – chcieliby być na imprezie, a nie w sali gimnastycznej. Wszyscy patrzymy na siebie wymownie, a poziom przekleństw w naszych ustach diametralnie wzrasta. Czujemy jednak, że robimy coś ważnego ...

\* \* \*

Sekcja dziennikarska jest najmniej spektakularną częścią Famy. Zbierasz informacje, przygotowujesz się do rozmów z mądrymi ludźmi i starasz sprawić, żeby to wszystko na papierze było klarowne i atrakcyjne. W tym czasie, kiedy ty piszesz jeden akapit, na którego konstrukcję prawie nikt nie zwróci uwagi, saksofonista za oknem doprowadza właśnie kilka osób do eargasmu. Gdy on zdążył rozkochać w sobie kilka osób, ty znalazłeś w końcu odpowiedni synonim słowa „festiwal”.

Tego konkretnego saksofonistę spotykałam często, kiedy o każdej porze siedziałam przy laptopie obok biura. Zagadywał. Ale gdy nagle dostajesz pod opiekę fanpejdż dużego festiwalu i po raz pierwszy od dwóch lat nie masz prezesa, który akceptuje każdą literkę i kropkę, musisz rzeczywiście poważniej zastanowić się nad publikowaną treścią. Myślę, że saksofonista i kilka innych osób uznaje mnie do teraz za skrajną nerdzicę. No bo kto siedzi przy komputerze o trzeciej w nocy, kiedy kilka metrów dalej ktoś coraz głośniejsze śpiewa, artyści wpadają pokazać ci siebie na fejsie, a znajomi z literackiej wołają na szybkiego szota?

Zawsze z lekką zazdrością spoglądałam na ludzi z sekcji literackiej. Napisanie rzetelnego artykułu jest mimo wszystko łatwiejsze niż stworzenie dobrego wiersza – nawet jeśli ma on trzy linijki. Dodatkowo większość z nich o filozofii i sztuce rozmawia jedząc poranną bułkę z serem, co dla mnie o 10:00, ze śladami wczorajszej nocy na wątrobie, jest sporym wyzwaniem.



Fot. Artur Swat

\* \* \*

Areszt pismaków. Tak właśnie określił nasz stan pomiędzy jedną kurwą a drugą kurwą, Witold. Wszystkim zależy, wszyscy spinamy się, czytamy, przygotowujemy do występów w telewizji. Swoje teksty komentujemy, czasem obgadujemy jedno koślawo napisane zdanie (kto jednak jest bez winy...). Chcielibyśmy zrobić show. Tęsknimy za spektakularnością. W wyniku tej potrzeby ja na przykład, założyłam z koleżanką Budnik zespół. Nazywamy się Koncept, znamy kilka akordów i podobno w przyszłym roku wygramy Trytona. Mamy też już gotowe stylówki zakupione w świnoujskich lumpeksach. Taki plan.

Fama – scenariusz piszemy sobie sami. Ten żywy organizm tworzy się w każdej godzinie. Konglomerat myśli, emocji i sztuki. Ostatnio o 04:00 ktoś czytał mi Kerouaca, ktoś inny kłócił się ze mną o skład zespołu, którego koszulkę miałam na sobie. W tym samym czasie koleżanka Budnik robiła korektę naszych tekstów. Kiedy wróciłam do pokoju, jedna z dziewczyn właśnie szła spać, bo zmieniła koncepcję i musiała wszystko przeredagować. I właśnie to jest piękne – wszyscy traktują swoje pisanie poważnie. To tu powstają sprzeczki o odpowiedni przecinek, krytyka jest konstruktywna, a wszystko inne – nawet szot wódki, który potem przerodzi się w czytanie bitnickich pijackich tekstów – może poczekać.

\* © Witold Regulski, bo bardzo mi się spodobało i postanowiłam, że to będzie główny motyw mojego tekstu w trzecim numerze.

Joanna Hała



# Niecierpliwym czas sprzyja w dziwny sposób

Drugiej nocy na Famic siedzę sobie na oflagowym murku, kiedy przyjeżdża David. Poznajemy się i ja opowiadam żart, z którego on się nie śmieje. Ogarnięty żądzą zemsty, idę później na jego występ, przyrzekając sobie, że nie zaśmieję się ani razu. Udaje mu się jednak rozśmieszyć nie tylko mnie, ale też jeszcze może ze trzy inne osoby na sali, w tym panią Bożenę.

Pani Bożena dosiada się do mnie kiedy występ już trwa. Choć to niegrzeczne wobec występującego artysty, zagaduję do niej, bo towarzyszy jej mały, biały piesek. Nazywa się Ksana. Albo Xana. Piesek jest spragniony. Jego właścicielka kupuje przy barze wodę, wraca na swoje miejsce, którego ja strzegę przed tłumnie nadciągającymi ludźmi, o bolących nogach. Potem poi pieska z nakrętki butelki. Ja myślę sobie, że może trochę sobie z nią porozmawiam, może w ten sposób zemszczę się na Davidzie. Opowiadam o swoim piesku, o Fargo. Pani Bożena opowiada mi o tym, jak to kiedyś było na Famic (lepiej, oczywiście) i o zupełnie innym piesku, którym kiedyś się opiekowała. Nazywał się Nord i był psem Mieczysława Ejsmonta, o którym, co też szczerze przyznaję swojej rozmówczyni, nic mi nie wiadomo. Pokrótkę opowiada mi o nim i o jego bracie bliźniaku, Piotrze. Nie wiem, dlaczego mi o tym opowiada, więc wpisuje nazwisko braci w Google i choć nie ma o nich wpisu w Wikipedii, z artykułów, które znajduję wyłania się historia, w którą trudno uwierzyć.

*Piotr i Mieczysław Ejsmont byli marynarzami pochodzącymi z Mazur. Mieczysław przebywał w świnoujskim Jacht klubie, gdzie poznał panią Bożenę. Piotr w tym czasie był w Kopenhadze, gdzie bracia mieli się spotkać i stamtąd wyruszyć w rejs dookoła świata.*

Kiedy upewniam się, że rzeczywiście mogłem natknąć się na jakiś temat, dzwonię do Pani Bożeny i umawiam się na spotkanie, u niej w mieszkaniu. Przychodzę trochę za wcześnie i kiedy dzwonię do mieszkania, nikt mi nie otwiera. Po chwili otwierają się drzwi do windy: Ksana wraca ze swoją panią ze spaceru. Jako że wcześniej rozmawialiśmy przez telefon, zapominam się przedstawić, co też natychmiast zostaje mi wypomniane. Pani Bożena mówi o swoim zmęczeniu. Sugeruję, że możemy przełożyć spotkanie, lecz mimo wszystko dostaję zaproszenie do środka, a tam proponuje mi się wygodne kaptcie.

Pani Bożena opowiada o tym jaki był Nord i jak zginął, jak spędzała swoje wieczory w Świnoujściu gdy miała 17 lat. Jemy słodkie bułeczki z dżemem wiśniowym i mi chałki. Ja piję czarną, parzoną kawę, ona herbatę, bo ma problemy ze spaniem. Zimą, będąc na spacerze z psem, poślizgnęła się na podjeździe i złamała nogę, a teraz stara się o odszkodowanie. Tak naprawdę nie dociera do mnie nic wartościowego, ale to może też dlatego, że nie zadaję właściwych pytań. Tak czy inaczej, dowiaduję się, że Mieczysław był jednym z wielu marynarzy mieszkających na statkach i jachtach zacumowanych w świnoujskim porcie, gdzie nastoletnia Bożena spędzała czas z koleżankami. Piotra nie знаła wcale.

*W tym roku minie 48 lat, odkąd u przylądka Horn zaginęli polscy żeglarze Piotr i Mieczysław Ejsmont oraz towarzyszący im student Wojciech Dąbrowski. Na jachcie „Polonia” próbowali opłynąć świat. Precyzyjna data ich zaginięcia nigdy nie została ustalona, a ich dalsze losy po tym jak utracono z nimi kontakt, nie są znane.*

W końcu, kiedy oboje czujemy chyba, że formuła naszej rozmowy wyczerpuje się, pani Bożena sugeruje by zadzwonić do jej brata, który lepiej znał bliźniaków. Początkowo, pan Henryk nie chciał ze mną rozmawiać. Siostrze udało się go do tego jednak przekonać, o czym poinformowała mnie dzwoniąc o wpół do pierwszej w nocy poprzedzającej dzień kolejnego spotkania. Nie odebrałem, bo byłem akurat zajęty „festiwalowymi sprawami”. Pan Henryk ma jednak warunki: musimy rozmawiać z telefonu pani Bożeny i nie mogę rozmowy rejestrować.

Zanim pani Bożena wybiera numer, odpala papierosa. Ja, ośmielony, robię to samo. Mówi, że pali tylko wtedy, gdy jest podekscytowana. Snuje mi się w głowie historia braci, którą znam z przeczytanych artykułów i zastanawiam się, co dokładnie budzi w niej takie emocje. Pan

Henryk opowiada mi o tym, czego brakuje w kolejnych tekstach, przywoływanych w rozmowie i o dziennikarzu pracującym nad filmem, który nie powstał. Wydaje mi się, że wiem już, czego brakuje, ale nie potrafię tego z niego wyciągnąć, choć jego siostra podpowiada mi pytania, jednocześnie dając do zrozumienia, że wie co się tak naprawdę wydarzyło.

*Według informacji, które można znaleźć w Internecie, Mieczysław samotnie bierze udział w regatach w Świnoujściu, w trakcie których symuluje chorobę i ucieka do Kopenhagi, by dołączyć do brata. Pan Henryk, nieco rozżalony i zażenowany, podaje w wątpliwość ten element historii. Przez telefon*

*odczytuje listę osób z załogi, która towarzyszyła Mieczysławowi w drodze do Danii. Mówi o tym, że wszyscy mieli płynąć dalej.*

Pan Henryk domaga się wysłuchania. Chce być potraktowany poważnie. Chce, by historia, którą ma do opowiedzenia potraktowana była z szacunkiem. Pisząc ten tekst dla gazety festiwalowej moje możliwości są ograniczone. Na dodatek otrzymuję od mojego rozmówcy tajemnicę, bez żadnej obietnicy, że coś za sobą ukrywa, dlatego kończąc rozmowę, obiecuję mu, że mogę jedynie stworzyć tekst, który zrobi to samo.

Dawid Panic



„Czujny odpoczynek”, zdjęcie z prywatnych zbiorów pani Bożeny. Fot. Marysia Kosińska

# Świnoujska wyspa poetów

Świnoujski Klub Literacki „Na Wyspie” – ludzie, których łączy zamiłowanie do literatury i pasja poszukiwania nowych środków wyrazu. Stworzony w 1967 roku przez poetkę Annę Beatę Chodorowską-Gorzelniańską, obchodzi teraz swoje 50-lecie. Warto przyrzeć się bliżej miejskim pasjonatom poezji, gdyż niewielu z nas wie o tym, że to m.in. dzięki ich działalności powstała Fama.



Fot. Jan Paweł Hyba [tu.swinoujście.pl](http://tu.swinoujście.pl)

To poezja jest tutaj głównym tematem dyskusji i nie brakuje jej na żadnym ze spotkań. Klubowicze widują się w co drugą środę miesiąca. Opiniują wybrane prace kolegów i wymieniają się spostrzeżeniami. Wyznają zasadę, że zawsze warto posłuchać obiektywnych uwag drugiej osoby, ponieważ patrzy ona na utwór z innej, nierzadko lepszej, perspektywy. Przez wszystkie lata działalności klub zrzeszał wiele osób. Do współpracy zaproszono m.in. poetę, autora tekstów piosenek, Michała Zabłockiego czy sekretarza Wisławy Szymborskiej, Michała Rusinka. Długoletnim doradcą i przyjacielem świnoujskich twórców był nieżyjący już krytyk i poeta – Henryk Banasewicz. Klub łączy silną więź z niemieckim środowiskiem poetyckim. Aktywnie bierze udział w polsko-niemieckich dniach literatury. Nawiązywane są także indywidualne znajomości z pisarzami z Czech.

Od 1995 roku prezesem stowarzyszenia miejscowych pasjonatów poezji jest dziennikarz związany z Telewizją Słowianin, Maciej Napiórkowski. Dba przede wszystkim o to, aby w klubie pojawiali się autorzy spoza jego kręgów i udzielali cennych wskazówek wszystkim klubowiczom. Swoją przygodę z literaturą rozpoczął już jako uczeń Liceum Ogólnokształcącego im. Mieszka I w Świnoujściu. Pierwsze wiersze wyłoniły się z przestrzeni wewnętrznej zadumy nad życiem oraz młodzieńczych namietności. Swoje utwory publikował w prasie oraz klubowych almanachach *W ciepłym piasku poezji*, *Pod wydmami znaczeń* oraz w zeszycie literackim *Bursztynowe uczucia i Poławiacze wzruszeń*.

– Nasz klub nie jest zinstytucjonalizowaną organizacją. Niedawno pojawił się taki pomysł, ale ostatecznie uznaliśmy, że wolimy tak, jak było do tej pory. Staramy

się więc, aby była to bardziej ciekawa forma spotkań w przyjaznej atmosferze, niż konkretne stowarzyszenie. Gdy wyjeżdżamy na wydarzenia literackie do innych miejscowości, bez problemu dostajemy dofinansowanie od Urzędu Miasta w Świnoujściu. Jeżeli chodzi o nasze plany na przyszłość: nie są raczej sprecyzowane. Swoją działalność określamy jako: „Co nam wena przyniesie” – wyjaśnia z uśmiechem Maciej Napiórkowski.

Nie wszystkie nazwiska dotychczasowych członków zachowały się w klubowych dokumentach. Aktualnie swój warsztat literacki ćwiczy około 10 miejscowych poetów. Jest to między innymi Ewa Bugajna, która w 2004 roku zadebiutowała spotkaniem poetyckim w świnoujskim Forcie Anioła. Od tego czasu jest także członkiem klubu. W 2006 roku Ewa własnym nakładem wydała swój pierwszy tomik poezji *Ocean życia*. Wiersze tam zawarte mówią o miłości i cierpieniu, ale także ukazują piękno życia. Autorka prezentuje swoją twórczość także na antenie świnoujskiej telewizji.

Kolejną klubowiczką jest Janina Garczyk. W 1996 roku jej utwory znalazły się w tomiku *Sercem pisane*. Pozostałe wiersze można przeczytać w klubowych almanachach: *W ciepłym piasku poezji* (2002), *Pod wydmami znaczeń* (2006), zeszycie poetyckim *Bursztynowe uczucia* (2006), *Poławiacze wzruszeń* (2010). Nagrodę otrzymała m.in. za wiersze „Świt”, „Kokietka”, „Obrażone boćki”. Publikowała także w lokalnej prasie, a w swoim dorobku ma też tomik *Obok światła* z 2009 roku.

Dorota Lisicka debiutowała w 1983 roku opowiadaniem „Nata” w tygodniku „Morze i ziemia”. Wiersze poetki znajdują się też w almanachach klubowych: *Jarmark pod trójzębem* (1991), *W ciepłym piasku poezji* (2002), *Pod wydmami znaczeń* (2006), *Poławiacze wzruszeń*, *Poezja jest w nas* (2012), klubowym zeszycie literackim *Bursztynowe uczucia* (2006). W 2014 r. wydała własny tomik poezji *Drobiazgi*.

Artur Marach mówi, że bywa poetą, co znajduje odzwierciedlenie nie tylko w pisaniu, ale też w fotografii i grafice. W 2004 roku prezentował swoje prace w Galerii Bezdomej w świnoujskim Forcie Anioła. Uważa, że poezja to nie zapisany na papierze wiersz, ale raczej odczuwana gdzieś w głębi duszy chwila niecodziennej świadomości, która nie wiadomo kiedy i skąd przychodzi, domagając się jednak jakiejś formy zapisu.

Co wspólnego ma Klub Literacki „Na Wyspie” z Famą? Otóż w latach 60. jego założycielka, poetka Anna Beata Chodorowska-Gorzelniaska organizowała w Świnoujściu spotkania artystyczne środowiska akademickiego. Rok później pomysł ten zaowocował powołaniem do życia

nad Świną I Ogólnopolskiego Przeglądu Studenckich Teatrów, Kabaretu i Piosenki, a w kolejnym – była to już Fama, z którą Klub Literacki jest związany od samego początku.

Na tegorocznej Fami powstał projekt „Listy do Ani”. Polegał na napisaniu przez uczestników Famy listu, którego adresatką mogłaby być poetka. Na kartkach mogło znaleźć się wszystko – wiersz, piosenka, spektakl czy happening. Listy należało wrzucać do specjalnych skrzynek pocztowych, które były umieszczone w festiwalowych lokalizacjach.

– W skrzynkach niestety nie znaleźliśmy zbyt wielu prac. I choć z żalem patrzymy na zanik sztuki literackiej epistolografii, to i tak z radością przyjęliśmy sympatyczny ocean pozdrowień na kartkach pocztowych z krótkimi tekstami, np. „Pozdrowienia z Oflagu” czy „z famowskiego oflagu – poeci niekochani – naśladowcy Pani Ani”. Zwróciliśmy jednak szczególną uwagę na dwie prace, które wyróżniały się spośród pozostałych. Wszystkim, którzy przyczynili się do realizacji projektu Listy dla Ani, w szczególności dyrekcji tegorocznej Famy, w imieniu członków Klubu Literackiego „Na Wyspie”, dziękuję – podsumowuje Maciej Napiórkowski.

Anna Schmidt

Nie znam Ciebie osobiście  
Lecz dużo o Tobie wiem  
Poznałam Cię w wierszach  
Pisanych przez lata Twoją ręką  
Jest w nich smutek, tęsknota i miłość  
Twych uczuć cała gama  
Pokochałaś nasze miasto  
Z jego morskimi klimatami  
Zauroczyło Cię swym pięknem  
Zaszczepiłaś innym piękno słowa  
Zostałaś ze swą poezją na zawsze wśród nas

Waldek z Bolesławca

Gdy odeszłaś nie zgasło  
Słońce jak zwykle schowało się  
Za horyzontem nagich metafor w tym dniu nawiedzonym  
pogrzebaliśmy wersy  
Z pożółkłych kart odpadły znaczenia  
które tylko Ty im przypisałaś  
Zabrakło wody i wiatru by wykrzyknąć marzenia  
Łzy same oderwały się od powiek -wieków  
Będą już sierotami  
I my

Aleksandra Fedorczyk

# Smacznego – co i jak jemy na Famie

Kiedy napisałem dziewczynie, że piszę artykuł na temat tego, jak famowicze żywią się na festiwalu w Świnoujściu w odpowiedzi dostałem krótką wiadomość o treści: „To może być dość trudne, skoro nic tam nie jesz”.

Żeby była jasność – to nie jest tak, że zupełnie nic nie jem. No ale to chyba oczywiste. Bo choć zdarzało mi się już w przeszłości korzystać z tzw. „diety browarowej”, to dwa tygodnie to jednak sporo czasu i nawet Łukasz z Bałut pomiędzy wychyleniem kolejnych piwek musi czasem wrzucić coś na ząb. A jeśli Łukasz z Bałut nie jest w stanie polegać na samym alkoholu to z całą pewnością można stwierdzić, że nikt nie jest. Innymi słowy – no, kurna, trzeba jeść!

Organizatorzy też chyba zdają sobie z tego doskonale sprawę i serwują nam darmowe obiady. Codziennie inna zupa, którą możemy sobie z gara nabierać do woli, drugie danie (ziemniaków, kotletów i buraczków do woli już sobie niestety nie możemy nakładać) i kompot, więc całkiem miło, przyjemnie. Nie ma co ukrywać, famowy rytm dnia jest taki, że dla większości te obiady często są zbawienne... rano kac, który nie pozwala nawet ruszyć się z łóżka i przejść 200 metrów do Żabki po bułki i paszтет, potem warsztaty, koncerty, spektakle, w międzyczasie jeszcze wino na plaży, znowu koncerty i impreza na Oflagu do rana. A potem znowu pobudka o 10:00, kac, warsztaty i tak w kółko... No więc te obiadowe dwie godziny od 14:00 do 16:00 są często jedyną porą w ciągu dnia, kiedy przeciętny uczestnik Famy może w spokoju coś zjeść. Niech zatem Bóg błogosławi pomysłodawcom obiadów i paniom kucharkom – dzięki Wam warsztaty sekcji wokalnej nie trwają nieprzerwanie od rana do nocy. Opinie na temat tychże posiłków są podzielone, choć raczej większość starania organizatorów i pracę pań z kuchni docenia. Zdarzają się oczywiście wyjątki – wczoraj koleżanki uskarżały się na pomidorową, „ja robię lepszą” – mówiła jedna z nich. Ja jednak dzień wcześniej jadłem kolejną tutaj, paskudną zupkę chińską za 2 zł, więc każda taka domowej roboty „pomidorówka” działa na mój żołądek kojąco. Nie zamierzam narzekać.

Każdy z uczestników przed rozpoczęciem festiwalu musiał się określić: wege, czy nie-wege. Bo organizatorzy, widocznie nauczeni doświadczeniami z poprzednich edycji, liczyli się z tym, że spora część famowej społeczności nie je mięsa. No więc szukam tych ludzi „wege” bo podobno jest ich tutaj sporo i podobno są zadowoleni z posiłków – tak przynajmniej twierdzi mój współlokator

(on sam je obiady „normalne” – mam nadzieję, że żaden z czytających ten tekst vegetarian lub wegan się za to określenie nie obrazi. Trochę się jego słowom dziwię, bo dotychczas spotkałem się z jedną opinią weganina i – delikatnie mówiąc – nie była ona zbyt pochlebna. Siedząc ze znajomymi przed pobliskim Freshem, konsumując suche bułki i drożdżówki natknęliśmy się na prowadzącego nasze dziennikarskie warsztaty, Marka Osajdę. W krótkiej rozmowie oświadczył nam, że rezygnuje z obiadów na Oflagu, bo to wege to wcale nie jest wege i on woli iść do restauracji. Podobno swoje kupony na obiady oddał któremuś z festiwalowiczów. Tak sly-szałem.

Nie daję za wygraną i nadal szukam vegetarian. Chodzą słuchy, że roi się od nich w sekcji literackiej, więc podchodzę do Piotra, który jawi mi się jako największy oryginał z nich wszystkich i wręcz pewien jestem, że na czole musi mieć wypisane „jestem wege”. Zadaję wiadome pytanie. W odpowiedzi Piotr z rozbrajającym uśmiechem na ustach rzuca mi krótkie: „nie jestem”. Okej, dziękuję. Chwilę jednak z Piotrem rozmawiam, a on opowiada mi o swoich przyzwyczajeniach żywieniowych na Famie. Okazuje się, że, mimo że jest jednym z tych, którzy za kołnierz nie wylewają i imprezy kończą jako ostatni, codziennie rano znajduje czas i (przede wszystkim) siły, by wybrać się do sklepu i zjeść przyzwoite śniadanie. Poza tym poleca mi przejść się do pewnej, osławionej już wśród tegorocznych famowiczów budy na promenadzie zwanej „Korytem”. Ale o tym zaraz.

Kontynuując swoje poszukiwania znajduję w końcu Asię i Dawida – sekcje dziennikarska i literacka, oboje wegetarianie. Na pytanie o ich wrazenia odnośnie posiłków odpowiadają, że są usatysfakcjonowani. Asia opowiada, że po doświadczeniach z zesłorocznej Famy, na której jej współlokatorce narzekały na posiłki wege ona w tym roku nie robiła sobie specjalnie dużych oczekiwań i dzięki temu teraz jest zadowolona. Później rozmawiam jeszcze z Pawłem. Paweł jest muzykiem, jednym z tych, którym próby przed koncertami finałowymi zabierają w ciągu dnia sporo czasu. A jak nie próby to koncerty i nocne jamowanie. Przyznaje, że na Famie je mało i właściwie polega tylko na wegetariańskich obiadach, ale

mówi, że w sumie to dobrze bo miał w planie schudnąć i przez półtora tygodnia w Świnoujściu zdążył już zrzucić trzy kilo. Z serwowanych obiadów też jest zadowolony i – choć ze śmiechem mówi o plackach ziemniaczanych i ziemniakach na jednym talerzu – doskonale rozumie, że na takim festiwalu trzeba iść bardziej w ilość, a nie jakość.

Więkoszości członków famowej społeczności obiady smakują. Jak ktoś nie dojada to na miejscu można zjeść jeszcze śniadanie. Ale nie za darmo, aż tak dobrze nie jest. Żeby uraczyć się śniadaniem na oflagowej stołówce trzeba zapłacić 9 zł. Nietrudno się oczywiście domyślić, że dla przeciętnego famowicza jest to kwota, którą wydaje się z ciężkim sercem (choć i tak łatwiej zapłacić 9 zł za poranny posiłek niż za butelkę Coli w Browarze Miedziowym<sup>44</sup>). Trzeba sobie jakoś radzić, na przykład tak, jak przywoływany już przeze mnie na samym początku Łukasz z Bałut. Łukasz, jak sam przyznaje, na swojej artystycznej działalności kokosów nie zbija, a że browarków i jedzenia nikt za darmo nie rozdaje, postanowił zorganizować zbiórkę pieniędzy. Prośba o finansowe wsparcie, którą umieścił na swoim Facebooku zaowocowała solidną kwotą 317 zł przelanych na konto oraz posiłkiem i kilkoma piwkami, którymi obdarował Łukasza zauroczony jego osobą i muzyką fan. Zaprosił Łukasza do siebie, nakarmił, napił. Można? Można.

Wracam teraz do miejsca, o który wspominałem wcześniej i do którego skierował mnie Piotr z sekcji literackiej. Jeszcze w pierwszym tygodniu tegorocznej Famy zaczęły się na Oflagu pojawiać głosy o Korycie – budzie na promenadzie z frytkami, rybami i innymi nadmorskimi rarytasami, prowadzonej przez bardzo przychylnego famowiczom człowieka. Któryś z uczestników rozdawał nawet innym naklejki z logiem restauracji (choć dla tej niewielkiej budki „restauracja” jest chyba zbyt wzniosłym określeniem) i przyklejał je na ubrania famowiczów – dla przykładu ja przez cały tydzień zastanawiałem się co za cholerne „koryto” noszę na sercu. W końcu dowiedziałem się, że jest to właśnie owa miejscóweczka na promenadzie, której właściciel chętnie dzieli się z uczestnikami Famy swoimi wspomnieniami ze świnoujskiego festiwalu, historiami i (podobno) jedzeniem. 38-letni Marcin Surała Koryto otworzył pod koniec lipca tego roku. W rozmowie przyznaje, że żałuje, że tak późno bo przez to nie miał szans na zostanie oficjalnym partnerem festiwalu, który darzy wielkim sentymentem, ale planuje szerszą współpracę w przyszłym roku. W tym musi

zadowolić się wylapywaniem przechodniów, u których widzi famowe identyfikatory na szyi. Ale to też go satysfakcjonuje. Mówi, że Świnoujście potrzebuje Famy i że ważne jest, żeby mieszkańcy angażowali się w życie festiwalu. Piotr opowiadając mi o Korycie stwierdził, że jeśli chcę zobaczyć człowieka, który naprawdę cieszy się tym, co robi muszę koniecznie porozmawiać z panem Marcinem. I faktycznie widać, że Koryto prowadzone jest z miłością. W czasie naszej 30-minutowej rozmowy na posiłek u pana Marcina skusiło się kilku przechodniów, których on traktował z ponadprzeciętną serdecznością. Z wzajemnością zresztą.

Na mapie tegorocznej Famy Koryto zajmuje już niewątpliwie miejsce szczególne. Ogólnie jednak – tak, wiem, bardzo to odkrywcze – Świnoujście bardziej niż pod kieszonkę famowicza jest miastem urządzonym pod zasobne portfele bogatych turystów z Niemiec, więc mimo że ten czy tamten wyskoczy czasem z Oflagu na burgera, pizzę lub kurczaka, to jednak ceny w restauracjach festiwalowiczów nieco odstrasza. Koniec końców wszystko więc kręci się wokół oflagowej stołówki. Żeby jednak nie było tak kolorowo, to na sam koniec przedstawię uwagi i sugestie famowej społeczności (przynajmniej jej części). Drodzy organizatorzy! Choć doceniamy Waszą troskę o nas i starania, byśmy nie chodzili głodni, to mamy też kilka kwestii, które chcielibyśmy, byście rozważyli w kontekście przyszłorocznej edycji. Po pierwsze – ogólnodostępne kuchenka i mikrofalówka byłyby zbawienne dla wielu z nas. Po drugie – jeden czajnik na cały ośrodek to stanowczo za mało, zwłaszcza kiedy zagotowani wody wiąże się z bieganiem po piętach i korytarzach do łazienki. Rzecz trzecia – automat z kawą i herbatą również byłby jak najbardziej na miejscu. Nie wiem, czy te postulaty są na miejscu, czy też są wygórowane, czy organizatorzy faktycznie wezmą te sprawy pod rozwagę, czy raczej wzbudzą w nich one tylko pogardliwy uśmiech – ja tutaj tylko przekazuję wolę ludu.

Nadal nie za bardzo wiem jakie wnioski wypływają z tego mojego pisanie o jedzeniu. Nie mam też pomysłu na żadną błyskotliwą puentę, nie mam nawet pewności, czy ten tekst ma jakikolwiek sens. I choć chciałbym wymyślić jakieś oryginalne zakończenie to jednak tego nie zrobię – jest godzina 15:42, za osiemnaście minut zamykają stołówkę. Ostatni dzwonek, by załapać się na dzisiejszy obiad.

Witold Regulski

# Debiutant na festiwalu

## odc. 6 – Odnajdywanie tytułów naszych przyszłych książek, w słowach niechlujnie wypowiedzianych przy piwie

1.

*Podchodzę do niego z taką agresywnością, że chyba mu wystarczy drewna na podkładanie ognia pod libido przez cały następny rok. „Co chcesz?”, pytam dosyć bezpośrednio, ale nie lubię zbędnego pierdolenia i jak ktoś coś ode mnie chce, to wolę wiedzieć, co to jest. Na co on jakiś taki przestraszony odpowiada, „że może nie tutaj, że może wyjdziemy na zewnątrz”. Chyba, bo ledwo go słyszę, gdyż zespół gra jednak trochę za głośno.*

Stoimy przed Centralą. Ona pali fajkę, a we mnie pali się w końcu to, co sprawia, że chcę pisać.

*„Co chcesz?” pytam. „Coś chcę” odpowiada. „Coś chcę ci zaproponować i możesz się zgodzić lub nie, ale jeśli odpowiesz nie, to jednocześnie musisz dać mi w twarz, bo wyglądasz trochę jak moja pierwsza dziewczyna, a ja mam ochotę na odrobinę nostalgii” dodaję, błędząc wzrokiem gdzieś dookoła i nerwowo paląc papierosa.*

W końcu muszę jej przyznać, że też nie lubię zbędnego pieprzenia, ale w klubie było za głośno i bałem się, że mnie nie zrozumie. No i mówię jej o co chodzi. A ona odpowiada mocnym: „być może” i atmosfera robi się trochę mniej gęsta. Ja błędzę wzrokiem trochę mniej, jej mięśnie pleców między łopatkami trochę się rozluźniają i w końcu, już tak całkiem na luzie pyta mnie...

*...i tak całkiem na luzie pytam go, dlaczego chciał, żebym dała mu w twarz?*

2.

Zanim odpowiem jej na to pytanie, chciałbym opowiedzieć historię o trzech ziomeczkach, którzy stojąc oparci o ściany korytarza, żują miętowe gumy do żucia; w miarę nawet synchronicznie. Wcześniej ustalili między sobą, mniej więcej coś takiego:

*Jeżeli chcemy zrobić COŚ, mamy trzy opcje:*

*1. Od czasu do czasu, mniej więcej raz na tydzień, wsadzić sobie w dupę lokówkę lub prostownicę. Dowolność ze względu na osobiste preferencje.*

*2. Próbować wkręcić płaską śrubkę krzyżakowym śrubokrętem.*

*3. Ostatecznie skończyć na smutnej konstatacji, że sytuacja wymaga przyklejenia tabliczki z napisem „Wyjście ewakuacyjne” za pomocą własnozębnie przeżutych gum do żucia.*

Chłopaki regularnie praktykują numer jeden, czego ja osobiście wolę nie robić. Skupiam się na numerze dwa, o powodach czego za chwilę. Na całe szczęście na korytarzu stoimy wszyscy trzej i żujemy razem. Kiedy już ustalamy, że trzeba iść i gumy są wystarczająco wyżute, przyklejamy za ich pomocą tabliczkę nad drzwiami do korytarza. Robimy tak dlatego, że tabliczka wzięła była odpadła, a jest nam potrzebna, bo za nią, na framudze drzwi, chowamy kluczyk do pokoju. Zadowoleni, idziemy na kawę. Parę godzin później, kluczyk zostaje mi wręczony przez dziewczynę z biura, wraz z informacją, że pani sprzątaczką prosi, by nie chować kluczyka tam gdzie sprząta, a już na pewno nie życzy sobie, by przyklejać na gumach do żucia cokolwiek.

3.

Spotykam ją ponownie pewnego poranka w łazience. Chcę wziąć prysznic, ale ona się maluje, więc pytam jak długo jej to jeszcze zajmie. Ona do końca nie wie w czym jest problem i słusznie, ale ja jestem trochę za bardzo nieśmiały i się wstydzę. Wstydzę się i dlatego wcześniej każę jej dać mi w twarz. Bo się wstydzę, że jeszcze ją bóg, w którego wierzę, zdmuchnie i nic z niej, kurwa, nie zostanie.

4.

Rozluźniam trochę myśli i świat tylko lekko wibruje, gdy ona mówi, że jednak musi mi odmówić, bo wraca na dwa dni do domu, bo umarł jej ktoś bliski.

5.

Okolo 05:00, odzywając się sporadycznie podczas rozmów na oflagowym murku, zostaję oskarżony przez Irminę o bycie Konopnicką. Na krzeselku przed nami siada muzyk, którego akurat nie polubiłem. Zaczyna grać i śpiewać, sepleniąc przy tym z jakiegoś powodu. W Mateuszu budzi to emocje, których jeszcze u niego nie widziałem. Podrywa się by tańczyć do dźwięków, które wszyscy słyszymy i zachęcać muzyka do głośniejszej,

szybszej gry, wywijając przy tym strasznie całym ciałem. W końcu dołącza do niego Irmina i robią różne dziwne rzeczy, i w końcu obydwójce lądują na ziemi, a muzyk ostatni raz uderza brudnymi palcami w struny gitary i ostatnie wyseplenione słowo wydobywa się z jego ust.

6.

I choćbyśmy nie wiem co i gdzie sobie wkładali, chłopaki, to Mateusz na drugi dzień będzie się czuł głupio, kiedy usłyszy o tym jak tańczył, a Irmina będzie pięknie pachnieć perfumami, które nosiła moja pierwsza dziewczyna kiedyś i teraz nosi je ona, ale też pani kasjerska w sklepie Społem w Świnoujściu, kasując mi moje zakupy na śniadanie: dwie kajzerki, serek łaciaty, dwa banany i wodę. I kiedy będę to potem wszystko o godzinie 11:30 jadł pod sklepem Społem na śniadanie, usłyszę dobiegające z El Papa gromkie brawa i wiwaty, wiedząc, że właśnie ma tam koncert muzyk, którego akurat nie polubiłem, przestraszę się raz jeszcze, że Was, kurwa, wszystkich zdmuchnie. Ten bóg, w którego wierzę i przestać nie potrafię.

7.

Ja wiem, że od wkręcania śrubek złym śrubokrętem bardziej boli dupa niż od zabaw z lokówką (za co przepraszam) i że to wszystko jest bardzo infantylne. Ale tak sobie wymyśliłem i za to przepraszać nie będę. Do zobaczenia za rok, może, i niech nie wieje.

8.

Gdzieś się pomyłę, gdy będę kochał. Magda mi powie, że wcale nie miała zielonej kurtki tylko brązową marynarkę. Ja jej powiem, że wszystko jedno, bo żadnych kieszeni nie rozpruwała. Że mi się przywidziało. Że widzę rzeczy, których nie ma.

9.

Zatańczę, jak mi Grzeczni Chłopcy zagrają. Będę się świetnie bawił, a nazajutrz wyślę Monice smsa, w którym napiszę, że nie dam rady prowadzić spotkania, bo po jazzie na kacu zawsze wieje nie do wytrzymania. Może to mnie zdmuchnie jednak, a Wy będziecie się mieć świetnie, bo jak tak wieje to stoicie całkiem prosto.

10.

Wezmę Nukę na spacer ze schroniska i uśmiechnę się pod nosem, gdy przypomni mi się hasło *wrzenie*.

Dawid Panic

## Co słychać? – reportaż

cz. 2

– A wiesz, że tutaj wcale Niemena się za bardzo nie lubiło? – raz na koncercie obrzucili go podobno jajkami i pomidorami.

Słowo „podobno” zapala czerwoną lampkę. Z anegdotkami i pamięcią bywa raczej trudno. Moja babcia na przykład, do dziś śmiertelnie serio oświadcza, że jej wijski zespół pieśni i tańca ludowego mógł zapewnić jej bilet na Broadway. W umiejętności taneczne nie wątpię, ale w możliwości wyjazdu do Ameryki w siermiężnej komunie już tak. Opowiadka o Czesławie Niemenie, znanej już wówczas osobistości, Famowiczu z lat 70., jest jednak

prawdziwa i potwierdzona przez kolejne trzy, złapane w innym miejscu i czasie panie w okolicach sześćdziesiątki. Ba, jedna nawet rzecz widziała, choć pytanie o to, czy dołączyła do radosnej bądź wścieklej rzucanki półproduktami pozostało bez odpowiedzi. Wiem za to, że Niemen Czesław po promenadzie przechadzał się w kożuchu. W lipcu. Ot, ekscentryk. Co poradzisz, artysta.

– Za swoje długo zbierane zaskórniaki kupiłam w końcu jego płytę. Wcale nie był lubiany. Niech świadczy o tym to, co zrobił z albumem mój brat. Porysował go i zniszczył. Tyle z tej płyty miałam. – opowiada właścicielka



jednej z kawiarni. Niemen nie dość, że twórca znany, to jeszcze przez Świnoujście wyklęty.

Fama ma już niemal 50 lat. Od tego czasu przez miasto przewaliło się kilkadziesiąt rozpoznawalnych nazwisk, ważnych na scenie muzycznej od komuny po dzień dzisiejszy. Uprzejmie donoszę, że grupa Raz Dwa Trzy czy Mela Koteluk też są „stąd”. Tak jak laureaci nagrody Grammy z 2014 roku, Adam Kłoczek i Włodek Pawlik.

– Jestem w Świnoujściu nieprzerwanie od 1984 roku, z małym epizodem z 1988, kiedy nielegalnie wyjechałem z Polski i nie mogłem wrócić na festiwal. Przyciąga mnie parę rzeczy, przede wszystkim ludzie, którzy tutaj przyjeżdżają. Wieloletni znajomi, ale też świetni nieznan. Coś dzieje się zawsze. Przeżycia są różne, ale zawsze zostają. Sam prowadziłem Famę w latach 1986-87, pomagałem też w latach późniejszych. Po 1989 roku wyjechałem na stałe do Niemiec, ale co roku tu przyjeżdżam, choćby na koncert finałowy – Henryk Zaremba, były organizator, obecny sympatyk. Mówi dużo. Mówi anegdotą. Mówi z autentycznym zaangażowaniem.

Komuna. Słowo klucz wielu opowieści. No bo w jakiej formie festiwal studencki, a więc rzecz kontrkulturowa z samej definicji, mógł w ogóle zaistnieć? W czasach represji za mniej lub bardziej subtelne wystąpienia przeciwko socjalizmowi i towarzyszy ze wschodu? Wiemy, że milicja na czas Famy miała nieco gorszy wzrok, choć pałą obrywali delikwenci forsujący płoty. Właściwie wytłumaczenie jest całkiem proste. Pobłażliwość wzięła się z czystego rachunku. Łatwiej wytworzyć coś na kształt wakacyjnego getta: studentów, a więc grupę o podwyższonym ryzyku strajkowym – przerzucić – i to do dosłownie – na wyspę. Tym sposobem stworzono zwornik dla kultury akademickiej, mając jednocześnie podejrzane towarzystwo (tudzież bandę poprzebieranych dziwolągów) w jednym miejscu, oddzielonym na dodatek morzem.

Jeszcze inny obraz Famy wylania się z prasy tamtego okresu. I tak Krystyna Pisarkowa, sprawozdawczyni z Famy 1971 w artykule *Jak i z czego śmieją się studenci* („Przekrój” 1971, nr 1374, s.7) zwraca uwagę na niezwykle zróżnicowaną scenę kabaretową, szacując liczbę widzów obecnych na sali na 500 osób, pisząc: „Część widowni to studenci. Młodzież wyborna, stylowa, żywa, inteligentna, gorąca i naturalna. Cały trzeci rząd zarezerwowany ogromnymi napisami PRASA. Dużo trafnych i złośliwych aluzji celuje wprost ze sceny w radio, TV i prasę. Wiele śmiałych metafor wypada oklaskiwać nieurzędowo. Rozkoszując się niezależnością własnego rządu, wypłakują łzy śmiechu w chusteczkę”. I chociaż wedle myśli partii rządzącej Fama miała być kontrolowanym i niegroźnym festiwalem, aluzje czuć było na każdym kroku:



Źródło: „Przekrój”, 1971

„(...) Jury dało się porwać mocnemu nurtowi politycznemu kabaretów. Ogólny nastrój podniecenia przeszłością i przyszłością Ojczyzny jest udzielający. Niemal wszyscy się zarazili. Trochę zapomniano, że nie samą polityką chciałoby się żyć. (...) Parodia, paradoks, satyra, aluzja, zatrute strzały argumentacji, stylizacje stylizacji, śmiech na śmiechu i piramidy z piramid. Spoza podwójnego, potrójnego, poczwórnego itd. Dowcipu wychyla się niebezpieczeństwo. Strach przed powiedzeniem czegoś wprost”.

– Ten festiwal to dla mnie przede wszystkim symbioza, która jest nieuchwytna dla tych, którzy nigdy tu nie byli. Trudno powiedzieć co dokładnie jest takie unikatowe. Wiadomo, wydarzenia, ludzie. – dodaje Zaremba.

Fam porównywać się nie da, choć wielu narzeka, że kiedyś to dopiero było. Legenda lat 60. i 70., potem 80. i 90. nie jest zestawialna z sytuacją dzisiejszą z kilku powodów. Paru oczywistych – zmian systemowych, przeniesieniu akcentów, innej mentalności studentów, a także – przede wszystkim – realiów organizowania wielkich wydarzeń artystycznych, a więc systemu grantowego, który wymaga planowania wydarzeń niemal na rok wprzód, przy stosunkowo trudnej do przewidzenia sumy dotacji do przedsięwzięcia.

A co było unikatowe? Pani Regina, bibliotekarka z kilkunastoletnim stażem wspomina przede wszystkim koncerty muzyki country. Rzecz zupełnie unikatowa. Ale bardzo miło wspominam też koncerty Grzegorza Turnaua i grupy Czerwony Tulipan. To było naprawdę coś. Nikt nie był sztywny. Nikt nie patrzył, co wypada, a czego nie wypada. Naprawdę.

– Ja kiedyś pojedę do Nashville. Mam takie marzenie. To światowa stolica country. Ale wtedy, kiedy odchowałam dzieci. Może kiedyś uzbieram na taką wycieczkę. – mówi, kiedy szuka ze mną materiałów. Podsuwa mi pod nos *Bibliografię Świnoujścia 1945-1995*, z której wybieram kilka czasopism z czterech minionych dekad.

Dwie przyjaciółki wspominają szczególnie wielobarwne korowody, których było od groma. Na wielkich platformach kotłowało się morze ludzi, poprzebieranych najfinezniej, jak tylko się dało. Olejne napisy na murach „FAMA ‘71” zostały jeszcze przez kilkanaście lat.

Fama się nie zaczynała ani nie kończyła. Czekano się na cały rok, żyło się nią przez następne kilka.

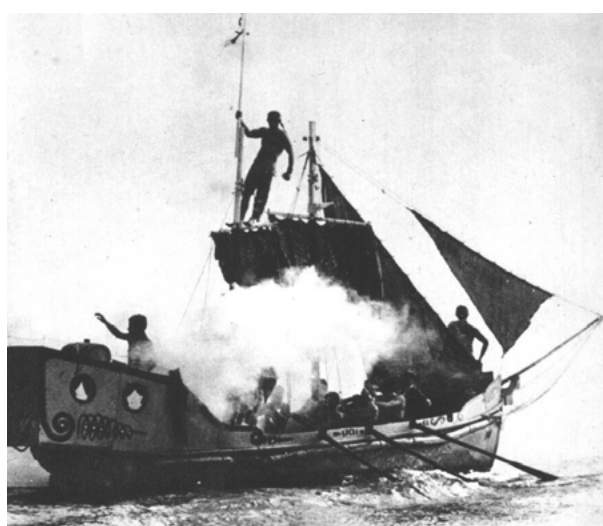
Pani Wanda coś o tym wie. Swego czasu prenumerowała „Świat mody”. To stąd brała najładniejsze wykroje. Kiedy rzucono ciekawszy materiał, szła z niego sukienki dla siebie i znajomych. Nie takie wory, które były wszędzie (jeżeli już były), ale smukłe i zwiewne kiecki, które oszczędzało się, jak tylko mogło. Ale w lipcu, w czasie Famy, w ruch szły wszystkie zasoby szafy.

– A bo to wiadomo było, czy na Grechutę nie wpadniesz?

Dziękuję moim kilkunastu rozmówcom rozsianym po całym Świnoujściu przede wszystkim za ofiarowany mi czas i zaangażowanie. Za okruszki pamięci, szczerą rozmowę i życzliwość. Za powierzenie swoich historii. Szczególnie dziękuję pani Reginie, świnoujskiej bibliotekarce, przeszukującej dla mnie miejscowe archiwa.

Agnieszka Budnik

Zdjęcia pochodzą z książki: „Świnoujście” pod red. H. Lesińskiego i T. Malinowskiego. Fot. Andrzej Witusz, Warszawa 1969.



# Punkt zwrotny

**Skończyły się pieniądze na alkohol. Nieporadne próby zarobienia graniem na ulicy skutkują tym samym. Czujesz się jak prostytutka, która jest tak słaba w te klocki, że po każdym stosunku postanawia zrekompensować klientowi traumę i dopłaca do interesu. Rozmienileś na drobne poczucie własnej wartości. Dobijasz do dna. Czas wracać do domu.**

Większość z nas jest biedna. Możemy marzyć o tym, że kiedyś się to zmieni, ale to nieprawda. Odkąd zacząłem ciężko pracować w poważnych firmach wiem, że jak nie odziedziczysz albo nie nakradniesz, to nigdy się nie dorobisz. Podobnie jest z talentem. I nie warto się wzajemnie oszukiwać. Jeżeli komuś coś wyjdzie, to najpewniej przez przypadek albo ma bogatych rodziców. Dlatego właśnie trafiłeś na Famę. Większość osób, które poznałeś nigdy niczego nie osiągnie. Podstawowy problem polega jednak na tym, że to wcale nie o to chodzi. W swoich tekstach oraz podczas rozmowy z ludźmi, którzy na ten festiwal wracają, wielokrotnie przewija się wątek braku przełożenia wygranej na rzeczywistość. Mam na myśli realne przełożenie, swoistą trampolinę do sukcesu. Debiutanci festiwalowi wierzą, że kiedy zdobędą laury i wyjadą ze Świnoujścia, to czeka ich wielka sława, ew. urywające się telefony z telewizji. Niestety, jedynym telefonem może być prośba operatora TV Słowianin, żebyś jednak oddał mu te siedem złotych, bo nie ma co jeść. Żeby zrozumieć fenomen i sensowność Famy trzeba wybiec trochę w przód i skonfrontować się z rzeczywistością. Wtedy uzyskamy odpowiedź na pytanie dotyczące tego, jak żyć.

Rok temu, przedostatniego dnia festiwalu, byłem już naprawdę zniszczony. Każda tkanka mojego kruchego i wątłego ciała była rozedrgana. Spore gratulacje na tym polu należą się mojej własnej głupocie, bo przez dwa tygodnie spałem łącznie jakiś 30 godzin, wstawałem skoro świt i ruszałem na warsztaty; potem miałem chwilę żeby napisać artykuły i trzeba było pędzić na kolejne wydarzenia, daj bóg, artystyczne. Potem dzień chylił się ku upadkowi i tak też działo się z moim postanowieniem, że tym razem zrobię sobie przerwę od alkoholu. Wracaliśmy na OFLAG, piliśmy do rana, prowadząc zażarte dyskusje o kształcie modernistycznej sztuki i nienawiści do wszystkiego i wszystkich. Stawaliśmy w rogach ponemieckiego placu szkolnego, kurczowo uchwyceni szklanych butelek i sialiśmy spustoszenie w sobie nawzajem. Niewiele osób zwraca na to uwagę, ale spustoszenie faktycznie ma charakter siewów i nie mówimy tu tylko o semantyce. Kolejne koncerty karczowały nasze serca, a my byliśmy jak osadnicy w tych dzikich rejonach, w które zazwyczaj nikt się nie zapędzał. Wkraczaliśmy z krzykiem na ustach w głowę drugiego człowieka. Z krzykiem, który pochodził z samego dna naszych płuc,

był ziarnem, z którego wzrastało zwątpienie. *Dubito ergo cogito*, mój drogi. I dzieliliśmy się tym zwątpieniem jak ostatnim kawałkiem chleba. I siódmego dnia nikt nie powiedział, że czas odpocząć, bo jak tu odpoczywać gdy wszystko dookoła płonie. I chyba tylko tak potrafię opisać moje wspomnienie dotyczące zeszłorocznej Famy. Wszystko płonęło, a my byliśmy krzesiwem i paliwem tego pożaru. Dokładaliśmy od siebie ile tylko można, opróżniając kolejne magazyny łatwopalnych substancji. Cieszyliśmy się tym ogniem, jak szaleni piromani-astmatycy, którzy pragną żeby płomień był tylko większy mimo, że kolejna sterta drewna sprawia, że zaczynają dusić się coraz głębiej. Nie potrafią przestać. Nie warto przestawać. Kropka.

Wracając jednak do jakiejś ludzkiej narracji, warto wspomnieć, że nagrody na Famie nie są zero-jedynkowym zapisem twoich umiejętności. Dwa tygodnie w jednym miejscu weryfikują. Dają możliwość spojrzenia na to, czy w tym, co robisz jesteś autentyczny. Ludzie muszą nie tylko kupić to, co robisz na scenie – na to często wystarczy godzina dobrego show, ale musisz im się sprzedawać każdego dnia, w każdej sytuacji. I żadne pozerstwo nie wytrzyma takiej próby. Fama to nie konkurs na najlepszy wokół albo scenariusz. Fama to tak naprawdę festiwal zajebistej osobowości, która przekłada się na jeszcze lepsze efekty artystyczne. Naprawdę rzadko się zdarza, żeby dobry człowiek, z którym przegadałeś trzy noce z rządu, potem wychodził na scenę i uprawiał słabiznę. Najlepsi artyści płoną najjaśniej i nie da się ich uspokoić nawet na chwilę. Oni po prostu pozostają sobą i często przychodzi im za to słono płacić; inaczej nie potrafią. Ten autentyzm był dla mnie najważniejszym wyznacznikiem otrzymania nagrody. I powiem szczerze, że w zeszłym roku w dużej mierze pokrył się z typami jurorów. Głównie w przypadku nagrody dla najlepszego dziennikarza festiwalu. Olbrzymia i gęsta osobowość, która nie pozwala o sobie zapomnieć i inspiruje kolejne pokolenia młodych adeptów sztuki dziennikarstwa. To był właśnie on, ale już go nie ma. Umarł na otyłość i pozostał tylko plamką nienawiści w sercach wielu kobiet, no i mężczyzn, bo szymonmówi, że lubi te plamki miłości, tyle, że na twarzy, ale one pozostaną z nim na zawsze. „Kocham cię Łukasz”, tak mówił, „przytul mnie mój misiu, obudź smoka”. Tak szeptał, a potem odszedł w kierunku

odpływającego promu. I skończyło się lato i nastala długa zima. Czas pogardy.

Wracasz więc do domu. Prom wypłuł cię na brzeg. Jesteś delikatnie mówiąc wrakiem człowieka. W głowie słyszysz cały czas szum Oflagu. Dookoła jednak nic się nie zmieniło. A myślałeś, że zmieni się wszystko. I przychodzi długo wyczekiwany kac. Jesteś smutny, ręce ci się trzęsą i na każdej imprezie czujesz jakąś ssącą pustkę w okolicach splotu słonecznego. Puszczasz więc w kółko piosenki twoich nowych znajomych, wysyłacie do siebie tęskne wiadomości i piszecie, że dłużej tego nie wytrzymacie. Jednak dajesz radę, bo wszystko kiedyś mija. I to teraz właśnie, następuje najważniejszy moment w całej zabawie. Teraz dopiero okazuje się czy wygrałeś ten festiwal. Masz dwa wyjścia, albo wzruszasz ramionami i mówisz sobie, że koniec wakacji i czas wrócić do bycia każdym z ludzi, których mijasz na ulicy, albo, i tu jest najlepsze, mówisz: pieprzyć to. Nie po to wypruwałem się przez dwa tygodnie, nie po to dałem z siebie wszystko, żeby teraz wrócić do tego, co robi każdy. Nie masz ochoty na wegetację. Nawet jeżeli wypruwasz sobie żyły w sklepie z butami, bo przecież tak trzeba, bo jeść trzeba i to nawet godnie, to zaczynasz postrzegać te czynności trochę inaczej, tak jakby z boku. Bierzesz to na przeczekanie. Pokornie i cierpliwie uśmiechasz się do bezsensu tej pracy, tych ludzi, tych związków i robisz swoje. Jeżeli tak masz, to wiedz, że wygrałeś. Głęboka świadomość innego świata, w którym przebywałeś, daje ci szansę na zmianę mikroskali jaką jest twoja bezwartościowa egzystencja. Nie po to przeprowadziłeś dziesiątki rozmów z ludźmi,

którzy zasiali w twojej głowie trochę siebie, żeby teraz uważać się i płakać, jak to będzie teraz źle. Przypomnij sobie ten rozedrgany czas i moment, w którym wszystko dookoła płonęło, a ty byłeś tego zasadniczą przyczyną. Przypomnij i działaj, bo czasu jest coraz mniej. Ze swojej osobistej perspektywy widzę, że ten festiwal dał mi swego rodzaju pewność, że to co robię może mieć wpływ na ludzi dookoła. I to jest wartość sama w sobie. Nawet jeżeli rozsiewałem tylko koklusz i nienawiść. Dalej, to był mój osobisty i oswojony koklusz. I nic ci do tego. W tym jestem dobry. I tym zarażam. I co najważniejsze, robię to dobrze.

Jeżeli szukasz na tym festiwalu biletu do sławy i lepszego życia, to proszę cię, zachowaj karteczki ze stołówki, jest szansa, że za rok sprzedasz je z zyskiem i kupisz sobie nowe majtki. To będzie jedyny sukces, który osiągnąłeś. Fama jest dziwnym tworem, który po prostu pozwala ci wygrać z samym sobą. Daje ci szansę na zdobycie przekonania o tym, że nie musisz robić sztuki dla czegokolwiek innego niż te chwile kiedy rzeczywistość dookoła płonie. A ty stoisz w samym środku pożaru, odpalasz papierosa i głośno krzyczysz, że chuj wam wszystkim w dupę. I jesteś szczęśliwy. I tyle chciałem powiedzieć na koniec mojej tegorocznej udręki i wspólnej przejażdżki po rubieżach mojego cierpienia. Dawno już tak nie przynudzałem nikogo, ale to już koniec. Widzimy się za rok. Umrzyjcie.

Łukasz Gamrot



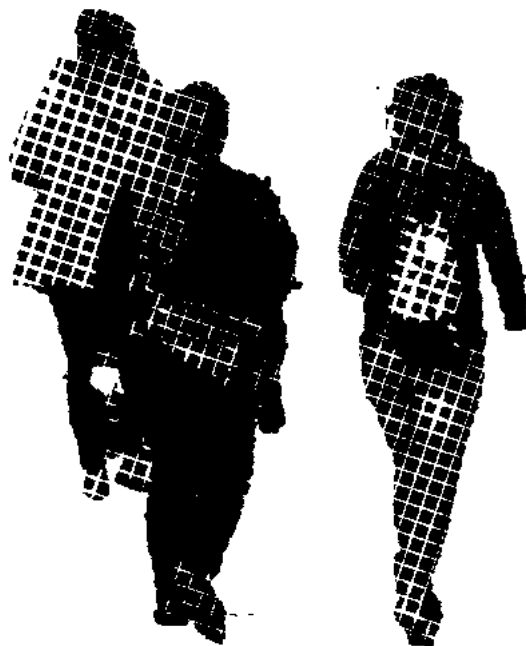
# TOR- PEDA ŁUDU

nr 3/3

Teksty uczestników  
warsztatów literackich

# Cóż po ludziach

Wariatkowo, proszę państwa, wariatkowo.  
Kiwaj głową, proszę państwa – kiwam głową.  
Rozdwojenia, rozpięcia, proszę państwa,  
Chrześcijańsko-przeświatowa myśl pogańska.  
Rozczworzenie, rozwarstwienie, moi drodzy  
Przyjaciele, profesorzy, psychologdy.  
I blokada – ach – blokada, proszę państwa,  
Gdy się składa te gałgany, te baraństwa  
W jedną kupę, gdy się składa razem z świętem  
Te przekleństwa uświęcone i przekłete.  
Żeby tyle! Przecież państwo, proszę państwa,  
Tak mnie szarpia i tak szepczą mi szataństwa.  
Tak mnie szarpia w cztery strony jak żywioly...  
Tak się kręcę, szarpie, sama, z boku głowy.



# Spacery

Kiedy świeci pół-brama księżyca, nie próbuj mnie zatrzymać.  
Muszę – słuchaj – być wtedy na dworze. Zła dziewczyna.  
Muszę stanąć na mostku, nad światłami, domami.  
Muszę westchnąć i szepnąć: „niech już mamy!”

No a potem: „Galczyński, Galczyński! Daj nucić!  
Razem z tobą światłami, domami się upić!  
Razem z tobą niech śpiewam, niech śpiewają ulice,  
I niech tobie tam, a niech dla mnie tu – księżyce.  
O, Galczyński!”

Wiem – naiwne to – ich zachwyt sroczy –  
tych złodziei blasków. Głupie oczy!  
Gdy zachłannie piją światło złote...  
A tam ludzie lecą samolotem.

# Wymiana

Jesteś głodny. To nie twój wybór.  
Cierpisz bardzo. Od dni i miesięcy.  
Po co sklepy? Stoisz przed szybą.  
Brak towaru. Albo pieniędzy.

# Złota Rybka

Dawid Panic

Ona ma lat szesnaście i właśnie zaczęła swoją pierwszą samotną zmianę w pracy. Dorabia jako kelnerka w lokalnej jadalni. Pierwszy raz była sama, dlatego skończyła trochę później niż zwykle, bo musiała się upewnić, że wszystko zrobiła jak należy i też trochę dłużej zajęło jej sprzątnięcie. Uciekł jej ostatni autobus do domu, ale tak naprawdę nie miała daleko, jakąś godzinę drogi. Była ciepła letnia noc, więc postanowiła iść pieszo. Jednak po całym dniu pracy trochę bolały ją nogi, dlatego wolałaby jednak jechać autobusem. Pomyślała, że jeśli będzie coś akurat przejeżdżać, złapie stopa. Nigdy tego nie robiła, ale jej koleżanki z pracy tak i opowiadały jej, że podróżują tak często. Postanowiła też spróbować i ten pomysł wydał się jej bardzo ekscytujący.

On ma osiem lat i tata pierwszy raz wziął go na ryby. Teraz siedzą sobie razem nad stawem na rozkładanych krzeselkach, a ich wędkę, zanurzoną w wodzie czekają, aż będą mogły spełnić swe przeznaczenie. Dopiero co zapadł zmrok, a przecież mają tutaj siedzieć całą noc. Jest podekscytowany; nie dość, że to jego pierwszy raz na rybach, to jeszcze cała nieprzespana noc przed nim. Tata mówi, że idzie do auta po piwo, bo mu się skończyło. Przy okazji zadzwoni do mamy. Wstaje i głosem bardzo poważnym dodaje: „A ty, synu, pilnuj wędkę”. Więc pilnuje i jest to najważniejsze zadanie na świecie. I kiedy ledwo zdaje sobie sprawę, że przecież nawet jak się coś na nią złapie, to nie będzie wiedział co zrobić, coś się zaczyna dziać. Jedną z wędek, ta stojąca bliżej niego, JEGO wędkę, zaczyna drgać, wierzgać i zdaje się, że zaraz wytarga z tego, co trzyma wędkę, żeby nie wytargała. Tak mocno ją coś szarpie z wody. On wie, że jak zacznie krzyknąć po tatę, to ten nie zdąży przybiec, zanim to coś tę wędkę wytarga i zniknie w jeziorze. Rzuca się w jej kierunku i w ostatniej chwili łapie mocno obiema rękami i szarpie z całych sił, nie wiedząc dokładnie, jak i czy dobrze to robi. Ale chyba dobrze, albo ma szczęście, że coś, co ciągnie z drugiej strony, nie jest większe i silniejsze od niego, bo jak tylko szarpnie, to czuje, że wygrywa, że jest silniejszy od tego co ciągnie. Szarpie drugi raz, zachęcony, teraz o wiele mocniej, na tyle mocno, że widzi jak siłą jego rąk wyrwany z wody sławik wylatuje w powietrze z impetem. A na jego końcu to, co przed chwilą jeszcze ciągnęło z drugiej strony, a teraz błyska się w locie i ląduje z cichym pacnięciem na piasku parę metrów od niego. Rzuca wędkę na ziemię i podchodzi do miejsca lądowania sławika, na którego końcu wije się teraz coś błyszczącego. Jest już ciemno, więc podnosi sławik za żyłkę

i podchodzi z nim bliżej podróżnej lampy, żeby lepiej widzieć i kiedy już jest w jej świetle, okazuje się, że to błyszczące, coś co właśnie złapał, to nic innego jak złota rybka i nagle okazują się, że ta historia to zupełnie inna historia, niż wydawała się być dotychczas.

I on dokładnie wie, co dalej ma robić, bo historie o złotych rybkach są mu raczej znane, więc zanim to ona pierwsza się odezwie, szybko łapie ją w obie ręce (rybka przestaje wierzgać), delikatnie zdejmując ze sławika, podnosi tak, by być z nią twarzą w twarz, o ile można być twarzą w twarz z rybą, i mówi stanowczym tonem „Jeżeli cię wypuszczę, spełnisz moje trzy życzenia prawda?”. Na co rybka prychnęła tylko głośno ze śmiechem, o ile może rybka prychnąć w ogóle: „Ha!” i mówi: „A co to jakaś bajka jest synek? To prawdziwe życie, a życie nie jest takie kolorowe! Czasy są ciężkie i co najwyżej mogą spełnić jedno twoje życzenie i też nie mogą ci zagwarantować, które z twoich wszystkich życzeń się spełni. Ale tak, jedno twoje życzenie, spośród wszystkich rzeczy, które kiedykolwiek będziesz sobie życzył, na pewno się spełni. Serio. Obiecuję. To co, wrzucasz mnie synek do tej wody z powrotem, bo sucho tu jakoś macie, hm?”

On tak do końca nie jest pewien, czy ta rybka go nie oszukuje czasem i wcale czasy dla złotych rybek nie są takie ciężkie i on powinien z nią negocjować. Ale wie, że tata może wrócić w każdej chwili i nie jest pewien, jak mógłby zareagować i może to on będzie chciał sobie życzyć coś dorosłego od rybki, jakieś nowe auto czy coś. Więc kiwa tylko rybcę głową dając znać, że zgadza się na jej warunki (z tyłu głowy już sobie życząc, że w sumie to fajnie by było, jakby rodzice pozwalali mu więcej grać na konsoli), bierze zamach i rzuca rybką w kierunku jeziora. Potem zdaje sobie sprawę, że powinien odłożyć wędkę tam, gdzie była i ogólnie zatrzeć ślady tak, by tata nie zorientował się, że coś się właśnie wydarzyło. Ale gdy rozgląda się dookoła, okazuje się, że wszystko wygląda tak, jak powinno: wędkę wróciła na swoje miejsce, a na piasku nie ma żadnych śladów. Zdziwiony siada na swoim krzeselku. Po chwili wraca tata z piwem w jednej i butelką wody w drugiej ręce. Przechodzi koło niego, wręcza mu wodę i pyta: „I jak, szarpało coś?”. A on kiwa tylko przecząco głową, myśli, że w sumie to bardziej życzyłby sobie coca-cola i od razu z przerażeniem spogląda na butelkę, bojąc się, że zmarnował swoje życzenie, ale na szczęście okazuje się, że w butelce ciągle jest tylko woda. W następnych latach życzeń pojawiło się wiele. Niektóre były podobnie do coca-coli całkiem spontaniczne: lepsza

pogoda, krótszy czas jazdy autobusem do szkoły, dłuższe wakacje. Inne były bardziej zaplanowane: chciał nowy rower, nowy komputer, chciał mieć najlepsze stopnie w szkole i żeby Monika z jego klasy chciała być jego dziewczyną. Z czasem życzenia stały się bardziej skomplikowane. Chciał, żeby rodzice przestali się kłócić, potem żeby się nie rozwodzili, a potem, żeby mógł spędzać więcej czasu z tatą. Chciał dostać się do dobrego liceum, potem byle gdzie na studia, a potem życzył sobie tylko, żeby nie było tyle obowiązków. W międzyczasie, w swoje piętnaste urodziny spisał sobie listę życzeń, o których powinien myśleć regularnie. Zaczął od „dużo pieniędzy, szybki samochód i fajna dupa”, a lista przez rok, może dwa, stawała się coraz dłuższa i dużo czasu zajęłoby jej przeanalizowanie. W końcu skończyła się kartka i odłożył ją na bok, żeby przepisać na większą, ale akurat zadzwonił kumpel z pytaniem, czy idzie na piwo i jakoś o tym zapomniał. Później nigdy już jej nie przepisał i przez przypadek wyrzucił do śmieci, sprząając biurko. Od czasu do czasu przypominało mu się jeszcze o liście, o złotej rybce i coś tam sobie świadomie zażyczył, ale tak jak i wcześniej, woda zawsze pozostawała wodą, nie chcąc być niczym innym, nawet pepsi, czy podrabianym napojem o smaku coli. Nie to, że w swoim życiu nigdy nie pił coca-coli, ale nigdy wtedy, kiedy akurat miał na nią najbardziej ochotę i w końcu zapomniał całkiem o świadomym życzeniu sobie rzeczy, a złowienie złotej rybki przestało być dla niego prawdziwe. W końcu o nim zapomniał, stało się tym samym mirażem z dzieciństwa, co bycie rycerzem Jedi, prowadzenie wyścigowych samochodów, czy strzelanie bramek dla Realu Madryt.

###

W przeciwieństwie do tego, czego nauczyły nas baśnie, historie i opowiadki, moc złotych rybek jest ograniczona. Nieważne jak bardzo by chciały, nie są wszechmocnymi istotami, mogącymi zmieniać naturę wszechświata w dowolnym momencie. Nie znaczy to jednak, że są całkowicie niemagiczne i bezsilne wobec otaczającego je kosmosu. Wręcz przeciwnie, posiadają większą moc niż inne stworzenia okupujące ten sam wymiar co one, ba, nawet większą moc niż ludzie – jak dotąd, nie potwierdzono przecież żadnych przypadków posługiwania się dowolnego rodzaju magią przez człowieka. Ale może to i dobrze, bo obca dla nas ludzi magiczna moc jest tyleż samo darem, co ciężarem, okupionym poważnymi konsekwencjami, bo taka już jest natura wszechświata. Wszystko co piękne ma swoje zniekształcone odbicie w lustrze, na wszystko, co dobre, zło czai się za rogiem, a po każdym promieniu światła tyle samo ciemności czeka na swoją kolej.

Każda żyjąca złota rybka ma moc spełnienia swojego jednego życzenia i gwarancję wszechświata wpisaną w swoje istnienie, że to życzenie się spełni. Musi być ono jednak wypowiedziane w ostatniej chwili życia złotej rybki; stąd też bierze się długowieczność tego gatunku w porównaniu z innymi rybami. Tym, co jest jednak najbardziej uciążliwe dla złotych rybek, to warunek, będący kosztem takiego daru. Jeżeli w przeciągu swojego życia, złota rybka zaciągnie wobec innej istoty dług wdzięczności za uratowanie życia, w swojej ostatniej chwili musi spłacić ten dług i spełnić życzenie tej osoby, zamiast swojego własnego. I wiedząc to, bo ta wiedza o swoim własnym losie jest wśród złotych rybek dosyć powszechna, rybka z początku naszej historii, po tym jak została wrzucona przez chłopaka z powrotem do wody, przeżyła swoje życie wiedząc, że ani nie będzie ono jakoś specjalnie długie, ani też nigdy nie spełni się jej największe marzenie: po śmierci zamienić się w orla i szybować w przestworzach, tak samo jak ptaki, których zniekształcone sylwetki widziała czasem przez taflę wody.



Obserwowała jak spełniają się życzenia innych rybek z jeziora, które miały to szczęście, że nie pomyliły nigdy smakowitej dżdżownicy z przynętą, stawała się coraz bardziej zgorzkniała, wiedząc, że jej życzenie nigdy się nie spełni. To co fascynuje najbardziej, to fakt, że nie różniła się w tym bardzo od chłopaka, wobec którego musiała spłacić swój dług. On również, kiedy już przestał wierzyć, że przyjdzie mu skorzystać z daru magicznej mocy złotej rybki, skierował swój umysł w kierunku myśli o tym, jak to innym się udaje, jak spełniają się ich życzenia, a jemu wszechświat wydaje się nigdy nie sprzyjać i zanim o niej całkiem zapomniał, obietnica złotej rybki zdążyła mu się jeszcze wydać nieśmiesznym ironicznym żartem. Na szczęście, jako że ludzie żyją znacznie dłużej niż złote rybki (a przynajmniej dłużej niż te, które nie mogą życzyć sobie nieśmiertelności), kiedy nadszedł już czas ostateczny dla nieszczęsnej rybki, chłopak nie zdążył zestarzeć się jeszcze zbyt, a jego umysł nie zgorzkniał



aż tak bardzo. A kolejną rzeczą, którą należy wiedzieć o brzemieniu, jakie niesie ze sobą dar spełniania życzeń, jest to, że ostatnią rzeczą, jaką wie złota rybka splacająca swój dług wdzięczności, jest to, jakie dokładnie życzenie przyszło jej spełnić. Dlatego też, kiedy w swojej ostatniej chwili rybka poczuła jakie życzenie spełniła, zdążyła jeszcze tylko pomyśleć o chłopcu, który wyłowił ją ze stawu, zupełnie zwyczajnym ośmioletnim chłopcu, którego kiedyś poznała. W jej głowie na sekundę pojawiła się też twarz nieznanego dziewczyny, dużo starszej od chłopca którego poznała, ale wciąż będącej jeszcze dzieckiem. Widziała ten obraz dosłownie przez sekundę, po czym na zawsze zapomniał o niej wszechświat, a jej rola w tej historii spełniła się.

Kiedy jej oskrzela wyprodukowały ostatni pęcherz powietrza, chłopiec zdążył akurat skończyć studia, które tak naprawdę nic mu nie dały i nie do końca wiedział co robić dalej. Przez te pięć lat świat wokół niego zmienił się straszliwie i on chyba nie do końca nadążył za tempem tych zmian i nie do końca zdążył je zrozumieć. Na szczęście dla niego, jedną ze zmian, które zaszły w tym świecie, było to, że nie trzeba było go już rozumieć. A może trzeba było, zawsze trzeba, a może tak naprawdę nie trzeba było nigdy, żeby sobie jakoś tak ogólnie poradzić. Może po prostu rozumienie świata nie było umiejętnością jakoś bardzo pożądaną, nie było w cenie. W nowym świecie w cenie na pewno były za to emocje. W nowym świecie emocje były na sprzedaż.

###

~~niezależny\_1993

*Niesamowite jak taka młoda dziewczyna może już być tak przesiąknięta lewactwem. Skoro już w tym wieku jesteś już tak skażona życzę ci jakiejś terapii szokowej bo chyba nic innego cię już dziewczyno nie uratuje! Może jak już przygar-niesz pod swój dach paru imigrantów, to powinni zrobić z tobą to co robią ze swoimi kobietami tam u siebie hehe ;))*

###

Dwóch starych kumpli, Ben i Jerry, którzy znają się od dziecka, bo ich rodzice razem emigrowali do Stanów Zjednoczonych, jedzie furgonetką. Dzisiaj jest dzień polowania. Od ostatniego minęły dwa miesiące. Dostrzegają dziewczynę idącą poboczem, która na widok ich furgonetki macha ręką z kciukiem uniesionym do góry. Chce złapać stopa.

–Hej Jer, patrz, chce złapać stopa. Zatrzymaj się.

–Się robi. – furgonetka zatrzymuje się przy dziewczynie. – Ej, Ben. Ja ją chyba znam. To jest ta nowa kelnerka z Roadhouse’u co ci mówiłem.

–Nada się? – pyta Ben

–Nada. Dawaj, bieremy ją. Dzisiaj ty zaczynasz.

Dziewczyna wsiada do samochodu. Po paru minutach niezobowiązującej rozmowy, ku totalnemu zdziwieniu i przerażeniu dziewczyny, Ben zaciąga ją siłą na tył furgonetki i po chwili przygniata ciałem do podłogi. Dziewczyna próbuje się z nim siłować...

# Wrze, gotuje się, parzy...

**Maria Kądzielska**

Pomyślcie, jak to musiało się wydarzyć? On wyjeżdża do pracy. Bierze na ręce swoją trzyletnią córkę, którą mama przed chwilą ubrała i nakarmiła. Sadza ją w foteliku, jak czynił to wielokrotnie, przypina pasami i przekłada jej rączkę ponad pas, aby w wypadku hamowania nie udusiła się. Sam siada za kierownicą. Dziewczynka jest jeszcze bardzo śpiąca, nic nie mówi, nie płacze. Dzień ma być niezwykle gorący, już od poprzedniego dnia portale internetowe huczą, że zbliżają się upały. On skupia myśli na pracy, na tym, że mogą się spóźnić, bo wyszli z domu piętnaście po szóstej, a nie jak zwykle punkt szósta. Mała nie chciała zjeść do końca płatków, a on nie mógł znaleźć telefonu. Spieszy się. Jest bardzo wcześnie, Oliwia usypia na tylnym siedzeniu, tak jak jej się często zdarza przed siódmą. On zaczyna roztrząsać swoją wczorajszą rozmowę z szefem. Wie, że za mało pracuje,

że ten poprzedni kontrakt zupełnie mu nie wyszedł. Ale w końcu to nie z jego winy, klient wycofał się w ostatniej chwili. Takie straty dla firmy! Może gdyby bardziej się na tym skupił, to by się udało.

Co jednak się mogło stać, że tak zupełnie o niej zapomniał? Może zadzwonił szef? Tak, pewnie zadzwonił szef, aby mu oznajmić bardzo niespokojnym głosem, że mają dzisiaj podpisać umowę z nowym dostawcą. Z tym, z którym rokowania trwały niespełna rok i który jest dwa razy tańszy od poprzedniego. Jakie to są oszczędności dla firmy! To wyniesie ich na zupełnie nowy poziom, pozwoli rozwinąć inne działy, podniesie jego pensję. Kiedy odbiera telefon i słyszy podekscytowany głos szefa, całkowicie zapomina o wszystkim innym, natychmiast przyspiesza i kieruje samochód prosto do pracy. Musi się bardzo spieszyć, bo wjeżdża na parking o 6:46, niedbale

parkuje auto na swoim stałym miejscu i wypada z niego jak oszalały. Chce się jeszcze wrócić po okulary, bo straszliwie razi go słońce, ale nawet na to nie ma czasu. Przebiega cały parking, który powoli staje się rozgrzaną patelnią i zanim wpada do biura, jest już zupełnie mokry. Nie zapomina telefonu, nie potrzebuje się po nic wracać, tylko idzie prosto do swojego gabinetu. To musi być widocznie bardzo ważna sprawa, gdyż przez pełne osiem godzin jest na niej całkowicie skoncentrowany. Nic innego go nie obchodzi – odbiera telefony, wraz z szefem przyjmuje nowych dostawców i podpisuje z nimi kontrakt. Owocny dzień, tylko jest piekielnie gorąco – aż musi podkreślić klimatyzację. Na zewnątrz, jak podaje prognoza z tego dnia, jest co najmniej 35 stopni.

Nie wiem, czy wiecie, ale jeśli temperatura powietrza dochodzi do 35 stopni, to samochód, jeśli nie stoi w ocienionym miejscu, staje się puszką podobną do mikrofalówki. Co ciekawe, badania naukowe wykazały, że nagrzewanie się wnętrza auta nie zależy od koloru karoserii. Zatem to, że jego samochód był czerwony, w żaden sposób nie pogorszyło, ani nie polepszyło sytuacji Oliwii. Ciepło bowiem przedziera się przez okna, więc jeśli zaparkujemy na słońcu samochód z zamkniętymi szybami, temperatura wewnątrz po 20 minutach wzrośnie do 50 stopni, a po 40 aż do 60, jeśli samochód stoi cały dzień, może dojść nawet do 70 stopni. Przy temperaturze 40,5 stopnia zamknięte wewnątrz dziecko umiera. Dzieje się to w ciągu dwóch godzin, nawet przy stosunkowo chłodnej pogodzie.

Podobno siedziała tam zamknięta aż osiem godzin – pełny dzień pracy. Miała trzy lata, czyli zapewne ważyła około piętnastu kilogramów. Ciało ludzkie zawiera 60 procent wody – dziewięć litrów wody w ciele Oliwii grzało się w temperaturze 60-70 stopni przez osiem godzin. Małe dziecko traci niezwykle szybko bardzo dużo płynów, krew się zagęszcza, dziecko nie może oddychać, zaczyna się dusić, wysiadają nerki, mózg przestaje działać – w rezultacie człowiek umiera. Czy spała spokojnie cały ten czas, nie przebudziwszy się aż do końca? A może nie, może obudziła się końcu z powodu upału i spostrzegła, że nie ma przy niej taty? Zaczęła go wołać, a on nie wracał i nie wracał. Może była na tyle świadoma, że próbowała się odpiąć? Musiała zacząć silnie dyszeć, pocić się i płakać. Robiło jej się coraz bardziej gorąco, na pewno bardzo chciała się napić. Mijały minuty i nic się nie działo. Czekala. Zaś ciepło oplatało ją i napierało ze wszystkich stron. Wszystko wokół stawało się strasznie gorące: jej fotelik, pasy, którymi była zapięta, rączka u drzwi, którą próbowała złapać. Gorąco, gorąco, Boże jak musiało tam być gorąco. Jej śliczne czarne loczki zaczęły przylegać do buźki, która robiła się z każdą chwilą coraz bardziej czerwona. I zaczęła krzyczeć, krzyczeć na cały głos: Tato!!! Taaattto! Wróć! Tatttooo!”. Byle ją tylko usłyszał, byle ją tylko już stąd zabrał, bo ona dłużej nie chciała siedzieć

w tym samochodzie, chciała otworzyć drzwi i w końcu wyjść na dwór. Jednak czekała, dalej czekała, bo on wciąż nie przychodził. „W końcu musi po nią wrócić, przecież nie mógł o niej zapomnieć. On zawsze o niej pamiętał”. A potem coraz bardziej opadała z sił, coraz ciężiej jej się oddychało, każda próba nabrania powietrza paliła ją od środka. Obraz rozmazywał się przed oczami. Straszliwie rozboleła ją główka, piekły oczy i usta. Była cała mokra. I już nie mogła utrzymać prosto głowy, oczy same jej się zamykały. Nie wiedziała, gdzie się znajduje, nie była w stanie więcej zaczerpnąć powietrza. W końcu zemdląca. Czy na pewno nikt nie przechodził obok? Nikt nie słyszał jej płaczu? A może jednak? Może jednak ktoś tam był, tylko kilka samochodów dalej. Może pomyślał, że to płacze jakieś dziecko w oddali lub może, że to nie jego sprawa, bo co będzie wtykał nos w nieswoje interesy. Przecież tu sami porządni ludzie mieszkają, jak dziecko płacze, to z pewnością nie jest to nic poważnego. Może ten przechodzień uznał, że ona jest tam tylko na chwilę, w końcu wiele osób zostawia dzieci na kilka minut, aby załatwić jakieś sprawy i zaraz wracać.

A on był w tym czasie w amoku pracy. Spotkania, telefony, przygotowanie dokumentów – nawet nie miał czasu na lunch, tylko kupił sobie bułkę w bufecie. Jedną myślą do niej nie wrócił. Jak się ma małe dziecko, to przecież się o nim często myśli. Człowiek zastanawia się, co robi w przedszkolu, czy wszystko z nim dobrze, czy nie zachorowało, czy czegoś nie potrzebuje? W końcu trzy lata, to wciąż tak niewiele. A czy żona nie zadzwoniła, nie spytała się, jak mu idzie w pracy i czy odwiózł Oliwię na miejsce? Mogła próbować się dodzwonić, ale on miał zajęty telefon lub był w trakcie spotkania. Nie naciskała, nie dobijała się. Czym w końcu ten dzień miał się różnić od wszystkich innych? Nie musiała go kontrolować, był dorosłym człowiekiem.

Podobno, jak wyszedł z pracy o piętnastej i doszedł do samochodu, był zupełnie zszokowany, że jego córka siedzi w środku. Nic nie mówiła, nie ruszała się, nie reagowała na wołania. Próbował ją bezskutecznie reanimować, cucić, wyciągnął na świeże powietrze. Potem zawiózł do szpitala w nadziei, że zdążą ją uratować. W takich momentach, kiedy jeszcze nie wiemy, co się stało lub już wiemy, ale jeszcze nie jesteśmy w stanie sobie zdać z tego sprawy, uciekamy od wszelkich ocen, od wszelkich decyzji moralnych. Gdyby okazało się, że tylko zemdląca, że wszystko z nią dobrze, to całe zdarzenie byłoby zaledwie pouczającym wypadkiem – naganne ale nie dramatyczne, choć przecież działanie ojca takie samo. To efekt czynu się liczy w naszej ocenie i to on decyduje o karze. W szpitalu próbowali ją reanimować, ale bezskutecznie. Jaki miałby być jednak skutek, skoro nie żyła od kilku godzin? Zmarła w trzeciej lub czwartej godzinie zamknięcia, jej małe ciałko ugotowało się w temperaturze 70 stopni. Ojciec cucił i wiózł na

pogotowie już martwe dziecko.

Sekcja zwłok wykazała zgon na skutek udaru ciepłego spowodowany przegrzaniem organizmu. I nie było brawurowej akcji policji, jak na amerykańskim video clipie. Nie przybył w ostatniej chwili strażnik, nie rozbił szyby i nie wyciągnął małej, a potem nie zabrał jej do nowoczesnego ambulansu, aby swoją siłą i profesjonalizmem uratować jej wątłe, delikatne życie. Było zwyczajnie. Ani rodzina nie była najzamożniejsza, ani samochód nie wyglądał na najnowocześniejszy, ani praca nie była najlepsza. Nie było też policji patrolującej parking ani spostrzegawczych przechodniów. Dla niego zarzut nieumyślnego spowodowania śmierci, dla niej załamanie nerwowe. Grozi mu do pięciu lat więzienia, lecz prawdopodobnie sąd uchyli wyrok ze względu na ciężki stan psychiczny sprawcy.

# Nic straconego

Marta Wojtyra

Odkąd pamiętam, powtarzali mi, że najbardziej przeżywa się to po raz pierwszy. Potem to już tylko towarzyska formalność. Mimo to, jak piorun uderzył mnie fakt, że nazajutrz miałam pojawić się na ceremonii próbnej kogoś z mojego najbliższego otoczenia. Wychodziłam na zajęcia, kiedy zobaczyłam klepsydrę na drzwiach mojej klatki. Jane Radley lat 24. Ukłucie w sercu, a więc jednak. Co teraz stanie się z Jane? Chciałabym móc wsiąknąć na chwilę w jej myśli, powiedzieć, że nie była sama, ale Jane była samotniczką od zawsze. Jednym z tych ludzi, którzy szarpią się z życiem, bo muszą, a kiedy już wcale nie muszą, to i tak to robią, bo zdążyli przyzwyczaić się do takiego życia. Jane chciała buntować się przeciwko wszystkiemu, a przecież tak nie da się żyć. To pewnie dlatego zdecydowała się na rehears. Niczego nie pragnęłam w tej chwili tak mocno, jak pewności, że jednak zawróci. Najbliższe dwie doby spędzę w niepewności i strachu. Chciałabym znowu móc porozmawiać z Jane. Wykazywałyśmy wspólnie ogromny entuzjazm wobec wzajemnego braku entuzjazmu do robienia czegokolwiek. Patrzyłam uporczywie w niebo, chciałam przekazać jej, że będę czekać. Gdybym tylko wiedziała, gdzie teraz jest.

Na przystanek doszłam w błyskawicznym tempie, serce chciało mi wyskoczyć z ożebrowanego więzienia, na policzkach zamarzyły łzy. Zima skuła lodem cały mój zapal, egzystowałam jak w półśnie, odbijając się od obowiązków jak od ścian. Teraz jeszcze Jane. Jak mogło przyjść jej do głowy, żeby zostawić mnie tu samą?! Pewnie nie powinnam ostatnio śmiać się z niej za to,

„Nie wydawajcie osądu” – mówili potem księża w kościołach – „Bóg osądzi, co się wydarzyło”. Wina jest bowiem niczyja, zatem i problem jakiś niczyj, obcy, przypadkowy i z pewnością bardzo daleki. A dziewczynka? „Dziewczyna powiększyła grono aniołków” – powiedział fachowo w telewizyjnym dzienniku jeden z policjantów zajmujących się tą sprawą. Kiedy się nad tym zastanawiam, to wciąż jakoś nie mogę zdecydować, czy cytował Tuwima, czy może sam wymyślił te słowa.



że założyła konto na tym portalu, na którym wszystko przepuszcza się przez odpowiednie filtry, żeby było ładne i nieprawdziwe. Bo my z Jane nie jesteśmy fit ani eko, ani wege, po prostu żyjemy jak ci ludzie z ubiegłego wieku, o których czytałam na ekranie. Zapalam papierosa, nie smakuje mi wcale. Za każdym razem schemat mojego postępowania jest ten sam: mam ochotę zapalić (lubię odgłos pstryknięcia zapalniczki), pierwsze zaciągnięcie się dymem i już jestem zła, że truję organizm. Czasy się zmieniają, papierosy szkodzą jednak tak samo. Żałuję swojego nikotynowego występku, a za kilka godzin powtórzę akcję. Robię to dla zabicia czasu, dla zabicia stresu (nie wiem, dlaczego to robię). Dzisiaj rano wyczytałam w Sieci, że znowu wzrosła przestępczość, w związku z kradzieżami rehearsu. Ludzie dzisiaj łapią się wszystkiego, by uśmierzyć swój ból, nie dziwi więc fakt, że furorę zrobiły tabletki, po których umiera się na dwie doby, a potem wybiera: żyć czy umierać? Miało to na celu zwiększenie świadomości wśród samobójców, co to nie mogą zdecydować się, po której stronie chcą egzystować. Wprowadzono liczne reguły, protokoły i obwarowania, których należało wówczas przestrzegać. Próba ceremonii pożegnalnej odbywała się zawsze 24 godziny po zażyciu tabletki. Receptura tej dziwnej substancji nie była znana nam małym ludziom XXII wieku, a same tabletki funkcjonowały na rynku od jakichś 50 lat. Nie była to zatem nowość, w porównaniu do nowinek technicznych, które każdego dnia zalewały centra szczęśliwości. Mój allsmart 3.0 był już trochę przestarzały, nie miał tej funkcji transformacji w dowolne

urządzenie. Jane za każdym razem przewracała oczami, gdy na to patrzyła. Ceremonia Jane odbędzie się dzisiaj o 2 nocy. Jak powinnam się na to przygotować? Czy powinnam już się z nią żegnać, czy nie tracić nadziei? Jak mogła nie powiedzieć mnie, swojej przyjaciółce, co chodzi jej po głowie?! Pewnie nie udałoby mi się zmienić nagle jej sposobu odczuwania świata, ale wiedziałabym chociaż, czy dziś w nocy zostanę sama na zawsze, czy jeszcze do mnie wróci. Moja rodzina mówiła czasami, że ten cały rehearsal to cyrk i ludzie wcale się tym nie przejmują. Niektórzy robili to ze względów PR-owych, aby zwrócić na siebie uwagę, a nawet organizowali specjalne bankiety, na które sami planowali menu i dekoracje, wysyłali zaproszenia, a potem wracali do świata żywych, jak gdyby nigdy nic. Słyszałam kiedyś rozmowę dwóch przechodniów:

– Stary, kopę lat! Myślałem, że nie żyjesz! – Na co drugi z zawstydzieniem pokręcił głową i poszedł dalej. Śmierć nie robi już dzisiaj na ludziach żadnego wrażenia, bo czy to wiadomo, kiedy to naprawdę, a kiedy nie? Czy fatygowanie się będzie miało sens? A może za jakiś czas trzeba będzie jechać po raz drugi? Być może Jane chciała czegoś nowego doświadczyć? Ciągle szukała duchowych wrażeń, które jak mówiła są „nieuchwytnie w tej atmosferze światłowodów i sztuczności”. Też jestem niedzisiejsza, ale nie aż tak, jak ona.

Już gdy byliśmy małe, jej rodzice załamywali ręce, że ciągle chce chodzić do muzeum i oglądać książki z kartkami. Stare dzieje. Wracalam z zajęć szybkim krokiem. Zawsze się spieszę, chociaż wcale nie mam dokąd pójść. Teraz jak o tym myślę, to wydaje mi się to głupie, ale i tak idę szybko, bo właściwie dlaczego nie. Wchodzę do mieszkania. Piasek szura mi pod butami na płytkach w przedpokoju. Ze złością rzucam kurtkę na kanapę w pokoju obok, idę po szufelkę i zamiatam piasek, który choć już niewidoczny gołym okiem, nadal trzeszczy pod naciskiem mojej stopy. Zastanawiam się, jak to się dzieje, że jakaś materia zostaje właśnie ziarnkiem piasku, a nie czymś innym, dlaczego ja jestem akurat sobą, a nie na przykład Jane? Zawsze lubiliśmy te nasze dziwne przemyślenia, choć często czułyśmy się przez nie niepewnie w swojej własnej skórze. Piasek wrzucam do kosza, niestety pełnego. A więc tak wygląda dorosłość. Jest śmieciami wystającymi ze śmietnika, piaskiem pod butami, topniejącym bałwanem przy chodniku, odejściem przyjaciela. Cały czas mam nadzieję, że Jane jednak zawróci. Moje ręce drżą, zaczynam bać się coraz bardziej. Rehears na 48 godzin pozwalał umrzeć, a potem decydowało się co dalej. Przez jakiś czas próbowano się go pozbyć, ale doprowadziło to do nielegalnego handlu na czarnym rynku. Obecnie można było spróbować tego raz w całym swoim życiu, samobójstwo na próbę, tabletką

na receptę. Dilerzy zbijali na tym fortunę, bo niektórzy traktowali to jako rodzaj chronicznego eksperymentu. Gdzieś tam podobno ktoś, kiedyś przedawkował, ale nikt nie wiedział ani gdzie, ani kto. Czasy, w których żyję są dziwne. W przeciągu sekundy możesz pokazać całemu światu swoje życie, ale niektóre kwestie jak na przykład rehearsal są ściśle strzeżone. Istnieje nawet specjalna komisja, która zajmuje się badaniem nieprawidłowości, czyli mówiącej prościej, tuszowaniem niewygodnych przypadków. Dzisiaj w nocy po raz pierwszy zobaczę ceremonię pożegnalną. Jak bardzo żałuję, że to przedstawienie będzie dotyczyło właśnie jej. Kilka minut po północy budzi mnie dźwięk alarmu. Specjalnie założyłam dziś wieczorem słuchawki generujące sen, żeby nie myśleć cały wieczór o tym, co będzie później. Zwykle tego nie robię, wołam nie spać i myśleć o tym, jak działa świat i dlaczego tego nie rozumiem. Poszłam do kuchni, uporczywie stukanie w sufit. Poltergeist – myślę – lecz wiem, że ma on imię sąsiada z góry. Za oknem mrok nocy, nowe lampy na ulicy dają nieprzyjemne, białe światło. Czuję się jak w laboratorium. Robię sobie herbatę i coś do jedzenia. Cytryna zbyt kwaśna, pomidor zbyt dojrzały. Allnet powiedział mi przed chwilą, że na dziś przewidziany jest kolejny koniec świata. Naukowcy ostrzegają przed ogromną asteroidą zmierzającą w kierunku macierzystej planety. – A niech jebnie – myślę, wsłuchując się w przejmujące dźwięki wiolonczeli, którą właśnie uruchomiłam pstryknięciem. Jane wracaj, proszę.

Na ceremonię dotarłam jako jedna z pierwszych. Ledwie stałam na trzęsących się nogach. Jane, piękna Jane leżała spokojnie w przezroczystej kapsule wyściełanej bielą. Docierały do mnie strzępki rozmów, których wolałabym nie słyszeć. Krytykujące, osądzające, obojętne słowa, które zamykały mi ze złości oczy. Ale Jane z nieruchomym spokojem dryfowała właśnie gdzieś indziej. Szklana ścianka skutecznie odgradzała ją od irytującej przestrzeni. Pamiętam, jak kiedyś Jane mi powiedziała, że trudno żyć, kiedy ciągle jest się tworem cudzych wyobrażeń na swój temat. Mówiła, że chętnie scaliliby je w kompletną całość, ale są zbyt rozbieżne. Obserwując uczestników przybyłych na ceremonię, z każdą chwilą coraz bardziej rozumiałam Jane. Nabierałam rozdzierającej pewności, że nie zawróci, choć zostawienie mnie bez słowa było do niej niepodobne. Rodzina Jane trzyma się sztywno, kiwam im głową, a oni nerwowo machają w moją stronę. Jej babcia mówi, że rodzice zawsze za bardzo się z nią cackali, dawali za dużo swobody. Wiesz, Jane, może jednak nie wracaj. Nic straconego. W głośnikach rozległ się głos prowadzącego ceremonię, odczytuje biografię Jane. Jak formalnie, zanudziłaby się na śmierć na własnym pożegnaniu. Wiem, że wróci, jeszcze będziemy się z tego śmiać, jeszcze wszystko przed nami, nic straconego.

# Sisti Platanisti

## Jan Zealot

W roku 2018 Komisja Europejska narzuciła Polsce rozporządzenie o przyznaniu prawa wyborczego świniom. Był to kolejny sukces aktywistów, po wcześniejszym o pół roku sukcesie przyznania praw wyborczych delfinom. Wszystko za sprawą nagłego przyspieszenia badań w dziedzinie komunikacji międzygatunkowej, która od lat 60 utknęła uśpiona, choć już wtedy wstępne badania pozwoliły stwierdzić, że delfiny do porozumiewania używają zdań. Przyspieszenie nastąpiło, kiedy w oceanarium miejskim w Atlancie delfin Jimbo – ulubieniec dzieci i główna atrakcja ośrodka – przy pomocy pisaka upuszczonego przez turystę do zbiornika zapisał na jego brzegu sekwencję znaków przypominających litery. Świat widział już malujące szympansy i malujące autoportrety słonie, jednak zdjęcie znaków z Atlanty przykuło uwagę Roberta Johnsa, grafologa i matematyka, który współpracował z NASA jako ekspert w dziedzinie komunikacji z obcymi formami cywilizacji. W Johnsie rozbudził się ogień pasji. Rysunek okazał się równaniem matematycznym, zapisanym przy pomocy wymyślnego systemu zapisu, opartego na znakach, które delfinowi udało się zobaczyć przez szyby oceanarium.

W miarę otrzymywania kolejnych wyników i przechodzenia przez zwierzęta kolejnych testów, zmieniały się stopniowo warunki ich życia. Po raz pierwszy słuchane, odczuwały rosnący apetyt zaspokajania kolejnych szczebli komfortu. Domagały się dostępu do telewizji kablowej oraz prasy. Następnie grupa świń wystąpiła z politycznym postulatem zatrzymania uboju zwierząt w rzeźniach i chowu klatkowego. Na ulicach pojawiły się fale zaniepokojonych obywateli – co jest zrozumiałe, ponieważ w jakiś sposób zachwiany został porządek ułożonego dotąd świata.

Ekstremistyczna frakcja wyraziła opinię, że zwierzęta zbyt długo przez ludzi były trzymane na kolanach i teraz gdy wszystko nabiera rozpędu, należy walczyć o swoje. Zamaskowane bojówki delfinów i świń zaczęły napadać na obwarowane hodowle, uwalniając trzymane w zamknięciu zwierzęta, dopuszczając się pobić, podpażeń i uprowadzeń.

###

Ogromnym sukcesem okazała się polska wersja serialu „Platanisti”. Serial opowiadał o grupie delfinów słodkowodnych, studiujących i pracujących na swoje utrzymanie w Warszawie. Zdobył ogromną popularność, i główni bohaterowie: Bożna, Melania, Robcio, Matylda i Athanazja uzyskali status, blask, blichtr i wypłaty prawdziwych

warszawskich celebrytów. Zdjęcia przerwano, gdy Bożna udzieliła wywiadu, który wstrząsnął widzami wypowiedzią, że jej organizm źle znosi działanie kokainy i dlatego na jakiś czas musi zniknąć z życia publicznego. Organizm Matyldy uzależnił się od alkoholu, co doprowadziło do serii nieobyczajnych scen w miejscach publicznych a także awantur w czasie antenowym. Melania oznajmiła publicznie, że po sukcesie który przyniósł jej ogrom wiary w siebie i własne możliwości, zrozumiała, że celem jej życia jest niesienie pomocy i edukacji niepiśmiennym dzieciom zamieszkującym góry Semien, aby nieumiejętność pisania nie była powodem ich wykluczenia z życia społecznego. Robcio na antenie oświadczył się Athanazji, następnie wzięli ślub w porcie w Świnoujściu i teraz cała Polska żyje jej ciężą i czeka na przyjście na świat dzieci.

Spotkałem parę razy Bożnę i Matyldę, jako bywalec warszawskich klubów i dansingów. Rozpoznawałem typ typów, które im towarzyszyły i same dziewczyny nie wyglądały najlepiej. Co jakiś czas docierały do mnie doniesienia o czynach nieobyczajnych, kolejnym skandalu, spowodowanym wypadku samochodowym, docierające z różnych miejsc kraju. Przemieszczały się. Stały się ulubionym celem paparazzi. Potargane sukienki, wyzywające pozy, niecenzuralne krzyki, napaści na dzieci: Aż wizerunek „Sisti Platanisti” został wykorzystany politycznie – spojrzano w twarz zepsuciu i to zepsucie miało twarz byłych aktorek serialu Platanisti – twarz niemoralną, zepsutą i brzydką. Twarz nieludzką, co podkreślali politycy przypinając twarz Sisti do twarzy wszystkich Sapiens.

Teraz, kiedy zbliżają się wybory, nie martwię się już, że Polskiej Partii Delfinów i Świń zagrozi kolejna awantura ze strony Sisti. Udało nam się zapracować na zaufanie wyborców, i szacowane wyniki wyborów są zadowalające. Ale w taką zimną, nieludzką, warszawską noc, stoję na balkonie mojego mieszkania na Żoliborzu i czuję ogromny ciężar. Czuję ciężar Bożny i Matyldy i pustkę w którą spogląda z czasem każdy dorosły delfin, i chciałbym uściskać je pletwą, i pomóc. A przecież partia zadba o takie zagubione istoty jak one. Widzę to wyraźnie i czuję ciężar w środku nocy, stojąc na balkonie.

Bożna i Matylda na moło w Sopocie. Bożna i Matylda na Krupówkach. Bożna i Matylda na szczycie krakowskiego Szkieletora. Bożna i Matylda wyglądają z dachu w dół. Bożna i Matylda stoją na krawędzi i wyglądają w coś, czego jeszcze nie widzą ich oczy. Stoję na balkonie mieszkania na Żoliborzu i wyglądam zupełnie jak one, szukając w ciemności tego, czego jeszcze nie widzą moje oczy.

# Bracia

## Łukasz z Bałut

motto:

Byli dwaj bracia  
Dick i Cock  
Dick był normalny  
A Cock to zbok  
(Pan Hoji Muoto)

Był jeden brat, brat jedynak. Jednojajowy. I jak to w naturze bywa, tak i w samym jaju może się czasem coś konkretnie popierdolić. Wszak u kury jajko dwuzółtkowe dziwić nikogo nie może, ale u człowieka jajo dwujajowe to już lekkie przegięcie. Trudno zatem było nawet stwierdzić, czy brat był jeden – jednojajowy bliźniak z dwoma bliźniaczymi głowami, czy braci było dwóch, tylko coś tam im się wspólnego trafiło... i mam tu na myśli wszystko, oprócz głowy. Sam niewiele mam z jajami wspólnego, więc niełatwo mi tę historię opowiedzieć dokładnie.

Jeśli braci było dwóch, to wspólne trafiło im się przede wszystkim życie. To tak chyba biologicznie rzecz ujmując, bowiem życie wewnętrzne bracia wiedli zgoła odmienne. Feliks, jak samo imię wskazuje był zawsze uśmiechnięty, afirmujący i empatyczny zarazem. Cieszyły go proste, małe rzeczy. Ogólnie odznaczał się pogodą ducha i werwą, bystrością umysłu i spokojem.

Zakalec zaś, nie to żeby od razu był jakiś nieudany, mógł być nawet całkiem smakowity, ale posiadał jakąś bliżej nieokreśloną skazę. Na pewno nie był zbyt suchy. Dopiero przy bliższym poznaniu można było zobaczyć, że duch jego przyobleczony był w niehumanitarne cierpienie i zdawało by się tęsknotę za czymś, czego zjadacz chleba pojąć chyba nie mógł.

Bracia wiodąc wspólne życie niejednokrotnie podejmowali w rozmowach tematy różnorakie, w tym także wiele razy mówili sobie o swoich smutkach, radościach, niepokojach i podniętach. Jak na trudne warunki życiowe i brak realnych szans na separację, szanowali się niezwykle i jednoznacznie akceptowali swoją nierozłączność. Zakalca jednak frasowała samotność w sobie samym, którą odczuwał bardzo dotkliwie, zważywszy nawet na

ciągłą obecność brata i jego nieustającą chęć niesienia pomocy.

Nie było dobrych rozwiązań. Zakalcowi ukojenie dawał alkohol, ale Feliks niespecjalnie lubił jego działanie. O wyjątkowym szacunku braci świadczy, że nie zdarzały się choćby najmniejsze konflikty z tego powodu. Naturalne porozumienie przyjęte przez milczącą aklamację było kompromisem, na którym więcej stracił Zakalec i nie budziło w nim to specjalnych emocji. Doskonale zdawał sobie sprawę, że to jego chęć spędzania życia pod wpływem alkoholu była aberracją. Marzył o śmierci.

Feliks od dłuższego czasu domyślał się, co rozkminia brat. Wiedział, że jest jedyną przeszkodą w jego drodze do samobójstwa.

W ostatnim czasie przygnębienie Zakalca narastało, smucił się, cierpiał, płakał, co zresztą nie było łatwe do zniesienia także dla jego brata. Feliks chciał pomóc, ale nie bardzo wiedział jak. Wpadł na szatański plan i zrealizował go. Potajemnie zakupił rewolwer i odstrzelił sobie łeb. Przekonany był, że tym samym da Zakalcowi zielone światło do odebrania sobie życia. Plan się nie powiódł. Zrozpaczony Zakalec wiedział, jak szlachetne były pobudki Feliksa. Nie potrafił już odebrać sobie życia, postanowił w tym cierpieniu żyć za brata do końca swoich dni. Wszak wiedział, jak Feliks kochał życie.

Historia zatoczyła koło, choć nie wiemy nawet dokładnie jak to zaczynała. Tak jak jaszczurka w sytuacji zagrożenia potrafi odrzucić swój ogon tak ludzki organizm odrzucił własną część by przetrwać. Był to chyba jedyny przykład swoistej auto-autotomii u ludzi.

# Co wczoraj zjadłem

Mateusz Górniak

Dziewczyna w bluzce w paski próbowała się uśmiechnąć do chłopaka, a potem bała się na niego spojrzeć. Chłopak w czerwonym swetrze nie wiedział, jak można się do kogoś uśmiechnąć i nie zrobić przy tym głupkowatej miny, więc się poddał. Dziewczyna i chłopak palili papierosy przy barze jakiegoś klubu i czekali, aż coś się stanie, mieli na to dokładnie całego papierosa, bo przed chwilą zaczęli.

Dwa papierosy odmierzali ich czas i wokół pojawiało się mnóstwo głosów, przewijało się sporo postaci, a oni tak stali, a czas leciał. Ona z głową w dół, on z nieporadnością i trzymaniem papierosa między kciukiem a palcem wskazującym – zabawne, a może nawet: co za szczyt nieporadności/dresiarstwa (raczej nieporadności).

Ona poczuła się rozdrażniona, obiecała sobie samobiczowanie brakiem masturbacji do końca weekendu, on posmutniał i stracił ochotę na rozmowę z kimkolwiek. Ona przypomniała sobie, że uciekła kiedyś z imprezy, na której bardzo chciała być. On czuł się dokładnie tak jak wtedy, gdy stał z ładną, nieśmiałą dziewczyną na balkonie i wszystko, co mówił, było głupkowate, bo zaczął mówić, ona dalej milczała, on mówił jeszcze więcej i tak do momentu pierwszego zapętlenia, a potem było za późno: skrępowane autokorekty, aż wreszcie usilne żarty, spośród których tylko na dwa dziewczyna zareagowała w miarę miłym parsknięciem, które wcale nie dodało otuchy jego nieporadnej składni.

Potem dwa papierosy się dopalili i zostały dogaszone w dwóch różnych popielniczkach, co może oznaczać mniej więcej tyle, że nie stało się nic szczególnego, że miła chemia zetknięcia dwóch nabuzowanych kolorami i muzyką ciał przeszła w nieprzyjemnego kaca, w cichą rezygnację i ból gardła, bo paliło się za szybko, bo było się zbyt poddenerwowanym – tak to jest z tymi poddenerwowanymi, co chcieliby się rozedrgać gdzieś, gdzie dużo energii i wziąć tę energię dla siebie, pożyczyć dzięki niej trochę lepiej przez choćby chwilkę, przez choćby kilka dni.

No i dokładnie tak czułem się przed śniadaniem, jak te dwa biedne ciała, co nie były w stanie wymienić energii, która niewymieniona szybko może zamienić cię w leżącego, rozłażącego się kaca, przeborować cię aż do smutku, aż do ja pierdole z tego dnia nic nie będzie.

Moja dziewczyna próbowała obudzić mnie aromatem kawy i obietnicą długo jedzonego śniadania, ale czułem się przegniły po niedobrej nocy i przed niedobrym dniem, więc ani kawa, ani obietnice śniadania – nic z tych rzeczy nie mogło zadziałać. Kiedy u niej lepiej, to zawsze u mnie gorzej, a kiedy u niej gorzej, to zawsze

u mnie lepiej, choćby troszkę. Czasem też jest nam po prostu razem niedobrze, więc idziemy do kina, przez co naprawdę jesteśmy w nim oblatani, można nas zapytać o reżyserki i reżyserów dla smutnych chujek i chujów albo o wizjonerskie filmy, które rozprawiają się z naszym pokoleniem pokazując jego szybkość/teledyskowość/niezdecydowanie/brak potencjału rewolucyjnego/nudę/melanż, a najlepiej wszystko to razem w zajebście czującym flow amfetamionowym montażu albo w epickim long take, że nawet go nie czujesz, a po prostu pędzisz za nim na łeb na kark.

Na takiej właśnie karuzeli buja nas psychofizyczny system-rozpierduch, który próbujemy sobie czasem zdefiniować/zredefiniować przed snem, kiedy gawędzimy miło i już nie można palić w pokoju, bo smród i gruzlica będzie.

Na śniadanie zjedliśmy: jajka na miękko, buły z wczoraj i keczup, a potem poszedłem z papierosem po pączki i rogaliki z różnym nadzieniem, bo wiedzieliśmy, że nic poza odbijaniem się od ścian kawalerki dzisiaj nam nie wyjdzie, a prognoza o dobrym humorze mojej dziewczyny była nieprawdziwa, jej próba z aromatem kawy i obietnicą śniadania okazała się próbą dramatyczną, poranną szarżą na sens dnia, z której to niewiele wyniknęło, bo trochę biometr, a trochę moja upierdliwość już w kilka sekund po zgniłym przebudzeniu się. Był to więc dzień współwegetacji dwóch rozłażących się mentalności (mówiąc precyzyjnie: pierwsza niedziela kwietnia).

Potem, po tych rogalikach, toaleta, a po toalecie tak zwana prasówka. U mnie: facebook.com, kanonierzy.com (będą transfery), realmadrid.pl (mają super nagłówki z hiszpańskiej prasy sportowej), dwutygodnik.com (ale większość tekstów już znałem albo nie chciało mi się ich poznać), stajk.eu (nagłówki + jeden artykuł), u niej: facebook.com, nerwowo sprawdzany gmail.com, e-teatr.pl, kwestiasmaku.pl i katalogi z restauracjami, bo jak się nic nie robi, to można przynajmniej dobrze zjeść. Czasem mnie wkurza, że ona tyle przegląda stron z jedzeniem i myślę sobie, że socapitalism, ale w sumie sam jaram się futbolem, a on jest do potęgi socapitalism i mniej mi chyba daje niż to dobre jedzenie na mieście (nie żeby dobre jedzenie działało jakoś nadzwyczajnie w, hehe, „kuźni mojej duszy”). No i przy jedzeniu nie muszę myśleć o brazylijskich robotnikach, którzy ginęli przy budowaniu stadionów na Mundial 2014, podczas którego trwania straciłem dziewictwo. Nie w Brazylii, a na Śląsku, w atmosferze designerskiego pokoju mojej bylej dziewczyny, przyszłej adeptki architektury nowoczesnej, która, wiedziałem to już wtedy, kompletnie nie

rozumiała moich potrzeb i odchylen, ale jeśli miałbym być szczery, to ja okazałem się kompletnym dupkiem – w końcu już wtedy kielkowały we mnie literackie ambicje i gówniarsko-narcystyczne wyobrażenie o rewolucji seksualnej, którą sam chciałem odbyć na nowo, wbrew całej historii i jej nauczkom. Cała historia skończyła się tak, że zdrowo się wtedy upijałem i w końcu powiedziałem tyle smutnych i schizofrenicznych rzeczy, że było jej chyba mniej przykro przez to całe rozstanie. Pamiętam, jak stałem na dachu i lekko się chwiałem od tego wszystkiego, co wcześniej wypilem, ale wciąż miałem kontrolę nad swoim samobiczującym się na pokaz monologiem i nad spacerem po rynnach – wiedziałem, że nie spadnę i lechtało mnie wyobrażenie siebie jako Dekadenta Bezduznego Miasta Nocą, cieszyło mnie, że ze swoich frustracji uczyniłem ładnie wykadrowaną pocztówkę smutku, że widnieję na jej pierwszym planie i wszyscy mówią łał, ale historia. Słysząc było wtedy pojedyncze syreny, odgłosy imprez, przejeżdżające auta, a na sąsiednim budynku brzęczał neon pozbawiony jednej litery. Ależ byłem wtedy chujkiem, w te wakacje kilka lat temu. Te refleksy nie muszą dopływać do mnie poprzez nieodgadnione strumienie myślenia, że robotnik gotujący dla mnie i mojej dziewczyny ramen nie zginie jak robotnik przy brazylijskim mundialu, podczas którego traciłem dziewictwo, to nie tak. Po prostu dużo o przeszłości gadamy w te przedpołudnia i południa, kiedy nie można czytać, bo rozklejenie i rozkojarzenie. Chłopcy i dziewczyny, których albo ja kochałem, albo kochała moja dziewczyna, wracają do nas po śniadaniu, przez przypadek włączają tu i czasem każą myśleć smutne rzeczy o sobie samym i o swojej przeszłości. Tak sobie ich wszystkich przegadujemy na wszystkie strony, a potem docieramy do ciągle tych samych wniosków. Widzisz kochanie, tyle razy narodziłem się na nowo i oto idę do ciebie żonglując spodenkami od piżamy, a kiedy tak żongluję to jestem zwinny jak Thierry Henry, uroczy jak William Carlos Williams, to ja, twój chłopak!

Na obiad musieliśmy wyjść na miasto, bo coś się w ciasnym mieszkaniu zągęszczało, coraz mniej było przestrzeni do odbijania się od ścian i coraz mniej energii krążyło w naszej dwuosobowej poobijanej watasze. Ubrać się, kulturalnie coś zamówić i pomyśleć co dalej w jakiejś neutralnej przestrzeni – to nie ratunek, a pewna konieczność, tak będzie lepiej, żeby przez przypadek nie popłakać się po jakiejś niepotrzebnej kłótni i nie wspominać sobie rzeczy sprzed tygodnia albo miesiąca.

Przepychamy się zwykle przed lustrem i sprawdzamy, czy spodnie komponują się nam z bluzką, z pogodą, z nastrojem. Za ścianą sąsiadka-urzędniczka w przejaskrawionych rudych włosach robi piekło swojemu staremu przykowi, który cały czas chodzi w czapce z daszkiem i z nalaną twarzą, a mimo wszystko potrafi sprawiać wrażenie człowieka sympatycznego i szczerze cierpiącego na to, co spotyka go w życiu emerytowanego w wieku

40 lat policjanta bez ambicji do naprawienia świata (nie czepia się nawet palenia na klatce, taki z niego łagodny baranek). Wydaje mi się, że on lubi jeść śledzie i kielbasy, a ona chciałaby gdzieś wyjść, coś więcej mieć z życia, coś zrzucić z tego, co nosi na głowie i chyba przez to, że ona ma tyle na głowie, a on tyle w czubie prawie co wieczór, biedna jaskrawo ruda kobieta zwykła rzucać różnymi przedmiotami. Siedzimy sobie i tu nagle jeb o ścianę, trudno nie wyobrażać sobie różnych rzeczy, więc często je sobie wyobrażam. Na przykład jak on dłubie w zębach wyciętym z programu telewizyjnego skrawkiem papieru, co wydaje mu się bardzo zwyczajne i niewinne, a co ją doprowadza do szału i wprawia przedmioty użytku domowego (tak zwane „rzeczy pod ręką”) do odbijania się od ścian, a naszą kamienicę do lekkiego drżenia. Albo jeszcze inaczej: to nie tak, że ona go bije i w niego rzuca, ale jest jeszcze ktoś, mają specjalny schowek na upośledzonego, około trzydziestoletniego syna w błękitnej koszuli nocnej, którego dręczą w najwymyślniejsze sposoby, a nawet sugerują, że pochodzi ze zgniłej rodzinnej gałęzi, która sto lat temu obrodziła w komuchów i teraz oni wetkną mu kolejną zapalną do paznokcia u mniej sparaliżowanej nogi, żeby go bardziej bolało, tego czerwonego, upośledzonego skurwysyna.

Tamta jaskrawo pofarbowana na rudo kobieta jest w wieku mojej mamy, ale prawie w ogóle o tym nie myślę, a o mamie myślę często i czule.

Wyszliśmy i pogoda była neutralnie nienajlepsza, a kiedy doszliśmy, postanowiłem zgrywać ascetę i pustelnika antykapitalistę, więc zamówiłem najtańszą zupę, co moją dziewczynę zbiło z tropu, bo chciała coś większego i było jej głupio tak zamówić wobec mojego wybryku.

Kiedy wyszedłem na poobiedniego papierosa słyszałem odgłosy mszy w pobliskim kościele, podsłuchiwałem współklientów tej małej azjatyckiej knajpki, przed którą stałem, przyglądałem się turystom i tym, którzy niedzielne popołudnie chcieli dorznąć piwem. Dziewczyna w żółtej koszulce przyszła na mszę z mamą, tatą i młodszą siostrą, dla której jest wzorem. Za dwa tygodnie będzie pisała maturę i jest jej trochę niezręcznie prosić Boga o powodzenie w czymś tak błahym i przyziemnym jak egzaminy. Nie zmienia to jednak faktu, że myśli przede wszystkim o widmie porażki, choć wie, że jest bardzo dobrze przygotowana, ale to jej nie wystarcza. Jej pocziwie siwiejący ojciec w koszuli z krótkim rękawem, który właśnie ustąpił miejsca w ławce kościelnej starszej pani ze sztucznym biodrem i bajpasami byłby strasznie zawiedziony, że jego córka nie dostanie się na studia i do końca życia pracowała będzie przy kasie za marne grosze, z których nigdy nie uzbiera ani na jedne takie wakacje, na które on ją zabierał. Dziewczyna patrzy na niego i myśli, że musi dać radę, że jest silna, że po maturze wreszcie zacznie się prawdziwe życie i może wreszcie kogoś poznać, na przykład na uniwersytecie, gdzie podczas pierwszego dnia roku akademickiego wpadnie na nią jakiś miły



chłopak, rozrzucił jej książki po całym korytarzu, a potem zaprosił ją na kawę i odnajdą porozumienie dwóch zmęczonych już codziennością dusz. Jeśli idzie o duszę, to jest to dla mnie jakaś głupia abstrakcja, powiedział kiedyś chłopak, który palił swojego papierosa obok mnie. Ma dwadzieścia osiem lat i zdanie o duszy wypowiedział na drugim roku studiów, kiedy zaczął tak naprawdę czytać współczesnych filozofów i poważnie się nimi egzaltować. Teraz ma minimalistyczny tatuaż na przedramieniu i minę zbitego psa, bo przygotował pół roku temu zbiór opowiadań, ale boi się konfrontacji z wydawcami, a co dopiero z rzeczywistością (całkowicie to rozumiem). On stał, palił i myślał, że trzeba będzie w końcu spać dupę, w końcu spać dupę, może od jutra i wszystko to jakoś ze sobą pospinać, a ja stałem, paliłem i tak sobie myślałem, a w zasadzie to skakałem sobie po różnych takich wyobrażeniach, z których chyba nie uda mi się wykrzesać jakiegos spójnego systemu.

# Co słychać?

Agnieszka Budnik

I

We wrześniu runęła przednia ściana wieżowca. Dziesięć pięter, pięć klatek, po sześć mieszkań na poziom. Dwie windy, jedne schody, sześćdziesiąt skrzynek pocztowych, każda wyładowana pakietem kolorowych ulotek i rachunkami, rzadziej – pocztówką od wnuczki, wezwaniem do sądu albo awizem na paczkę z książką czy zestawem śrubokrętów, co dziwne, bo przecież oni byli w domu, gdy rzekomo przyszedł listonosz. Po prostu winda nie działała, a siódme piętro nie leży zbyt blisko ziemi.

W pstrakaciznie tapet we wzorki, kolorki, jelonki i kwiatki identycznych układem mieszkań rzuca się w oczy kobaltowy kolor lewego salonu drugiej klatki na czwartym. Małżeństwo, dwójka dzieci już dorosła, tylko oni zostali w trumnie czterdziestu trzech metrów kwadratowych. Ona nauczycielka z trzydziestoletnim stażem, on pracownik zakładów montujących pojazdy szynowe. On znów krzyczy o życiowej porażce i wyżywa się, że książki metodyczne leżą na ławie, gdzie raz w życiu chciałby zjeść dobry obiad, albo chociaż przyzwoity, a nie, że musi jeszcze dzielić miejsce z jakimiś pierdolonymi podręcznikami. Ona, od tych dwudziestu lat bez biurka i kąta do pracy, w takich chwilach wodzi pustym wzrokiem po pokoju, przekłada książki ze stołu na kuchenny blat, gdzie mieści się jej tymczasowo-stała pracownia i zagłusza kolejną partię nieartykułowanych krzyków i wyzwick myśleniem o tym, jakim błędem było rzucenie tańczenia w musicalu dla niego. Skok. Palce.

Przez chodnik przeczołgał się otyły, czarny labrador, który chwilę później puścił strugę moczu na ścianę kamienicy. Postanowiliśmy, że pójdziemy do kina i kiedy szliśmy, z każdym kolejnym krokiem udawało nam się odrywać od świata. Niech żyją niedziele w kinie!

Z kina trudno wrócić prosto do domu, więc zjedliśmy przeplacone, świetnie doprawione frytki w jednej z naszych ulubionych klubokawiarni, gdzie nie musieliśmy się długo klócić o film – uroczy był, ale kompletnie się przejechał na społecznych diagnozach.

Po powrocie do mieszkania chciałem czytać, ale nie mogłem. Czulem, jak w mojej głowie pęcznieje coś gąbczastego, jak zakleja mi to powoli oczy i kładzie dziwny puls w okolicach uszu. Będzie mnie to uczucie gnębiło i zamieni dalszą część wieczoru w wiercenie się pomiędzy laptopem a łóżkiem, aż w końcu powiem, że prąd mi odcina, a ona odpowie, że jej w sumie powoli też i pójdziemy spać, wtuleni w siebie embrionalnie i czekający na jakiś dzień, który wreszcie nas poderwie do tańca, do życia, do czegokolwiek.

Pięta. Obrót na palcach. Skok. Palce.

Dwie klatki w prawo, siódme piętro, mieszkanie po lewej, salon o identycznych wymiarach, z tą różnicą, że wytapetowany pnąciami kwiatów i ze zwisającym kryształowym żyrandolem z plastiku. W kącie gramofon i kosz byle jak wrzuconych do niego starych płyt, jeszcze radzieckich, ale Czajkowski jest przecież obywatelem sztuki. Wiekowa śpiewaczka beneficisów partyjnych cicho więdnie w małym mieszkaniu z przydziału. Czasem sąsiadki zrobią zakupy, a pani z opieki społecznej posprząta albo zbyt długo układa biżuterię; przymierza pierścionek z rubinem, kiedy stara nie patrzy. A nie patrzy rzadko. Mówi za to za dużo. Perły w nagrodę za dorobek artystyczny, unikat, gdyby chciała, to mogłaby wybudować willę pod miastem. Noszone codziennie z dumą i pogardą dla plastikowej broszki pani Gosi.

Pięta klatka, parter po prawej. Troje studentów, para i kolega. Mieszkanie ciasne, trochę brudne, cuchnące mdłym, słodkawym smrodem gotowanej kapusty. Ale najtańsze, około 350 złotych na głowę, chociaż blisko do centrum. Mijają się, chociaż wciąż dochodzi do kolizji. Dwa kubki z fusami po zielonej herbacie doprowadzają ich obu do szału. Ona wciąż irytuje się, że deska w łazience chyba nigdy nie będzie opuszczona, a podłogi, pranie, prasowanie i mycie okien to tylko jej zajęcie, chociaż jako jedyna pracuje, i – na miłość boską, jeszcze za nikogo nie wyszła, ani nie zatrudniała się jako sprzątaczką. Szafy codziennie wypluwają swoją zawartość. Miejsca nie ma już od dawna.

Dwie ulice dalej, za murem parkowych drzew i szlabanów na przycisk przy kluczykach, otwiera się inne miasteczko - dość małe, obleczone zasiekami, pełne strażników i małych piesków z kokardkami. Smukła brunetka rozpięła dłonie na balustradzie szklanego tarasu kompleksu „Leśny zakątek”.  
Śpiewa swoją pieśń.

## II

Lubię, kiedy budzisz mnie niezasłoniętymi żaluzjami każdego dnia, szczególnie gdy słońce wdziera się ostrym spojrzeniem w nasze okno, a i lubię kiedy w nocy tak się wierzisz i rozpychasz, że nie raz zostałam napadnięta bez broni w rękę przez twoje wielkie ramię, szukające piątej poduszki, w którą mogłoby się zanurzyć i wymościć posłanie, bo przestrzeń osobista zaciera się razem z granicą świadomości i snu.

Kiedy robi się ciepło, a już się robi, nie ma co udawać, to naturalniej siadam rano z gazetą – światowe ubóstwo i widmo ekocydu mnie przeraża, ale chleb własnego wypieku z przepisu trzy stronki dalej, raczej średni w smaku niż dobry.

Po standardowych zabiegach pielęgnacyjnych, trwających dłużej niż krócej, jak zwykle mam pełne ręce roboty – manicure, szybki rekonesans serialowy, próba zrozumienia dlaczego nasze miasto nie jest tak wielkie, seks nie tak dobry a felietony nie tak poczytne jak te Carrie Bradshaw, do której mam sentyment, bo przecież mi nic nie brakuje, a jej na pewno lustra, a po tylu latach to przecież w ogóle brzydka. Prasowanie trwa tak samo długo jak zawsze, ale odkąd dostałam stację parową, jestem w stanie wyprasować o cztery koszule więcej niż wcześniej. Zasłużona kawa, pomleczona sojowym beztłuszczowym, po które znowu muszę go wysłać, bo właśnie mi się kończy, program o aranżacji wnętrz i talk show, które jakoś tak zawsze mnie wzrusza, jak nic innego.

Czas leci na tyle szybko, że zaraz muszę dzwonić po catering, dzisiaj z chińskiej restauracji, bo mężczyzna zły, kiedy głodny, zwłaszcza po całym dniu negocjowania kontraktów, chyba z Chińczykami. Szybki przegląd makijażu też nie wypada zbyt pomyślnie, co odejmuje mi kolejne pół godziny przed godziną „W”, punktem kulminacyjnym dnia.

Wraca, zadowolony, że czysto, że kolor paznokci pasuje nawet pod szminkę, co jest niesamowite, bo i tak nie odróżnia kolorów, ale miło i ciepło robi mi się na sercu, że trud dnia został mi wynagrodzony, bo odkąd zajmuję się pracą w domu, a to już trzy lata, nie mam nawet czasu zadzwonić, a tym bardziej odebrać telefonów, na szczęście te prywatne już nie zwracają mi głowy.

A co słychać w byłej dzielnicy przemysłowej, reanimowanej przez artystów, bo całkiem tanio i nawet ładnie? Trzeba się porządnie wsłuchać, żeby w ogóle wysłyszeć na ten zduszony oddech.

## III

Problem ze zmarłymi jest taki, że za szybko się po nich sprząta. A co jeśli ona nadal chce mieszkać u siebie, bo przecież nie przypomina sobie, żeby mieszkanie sprzedawała, a ktoś właśnie wyrzucił jej zydelek i zaczyna montować kuchnię z aneksem, jakby jej szare szafki jakieś brzydkie były. Owszem, poobijane trochę, galki nie wszystkie takie same, ale jeszcze z mamą wybierała, wszystkie sąsiadki zazdrościły. Teraz nie ma kto zazdrościć, ale żeby tak od razu wyrzucać dobre meble? Kryształową zastawę gdzieś do pudła włożyć? Tapety ulubione, w róże takie piękne, ciut już pobladłe ale nadal piękne, jak Najświętsza Panienska, tak zdzierać?

Łzy jakoś nie chcą skapnąć ani policzka pomoczyć. Dlaczego nawet po śmierci, tej chwili, chwileczce, przecież tydzień temu dopiero, dlaczego nawet teraz musi się czuć taka niechciana i bez swojego kąta, bezużyteczna? Dlaczego przez te 7 dni jej ciału towarzyszyły tylko muszki? Dlaczego dzieci nie odprowadziły jej na cmentarz, a przecież tam była, tak jak jest tutaj? Dlaczego przyszły dopiero teraz popukać w deski i przeszukać schowki, żeby potem mamina meblościankę śliczną wyrzucić i sprzedać mieszkanie obcym?

Nic nie rozumie, przecież ksiądz z takim przystojnym wikarym zapewniali, mamusia zapewniała, Panienska też zapewniała, że przecież jak już umrze, to Jezus w niebie czeka i braci z wojny i mamusię i nawet pana Tádka z za płotu z Niżnej zobaczy. A tu tylko ludzie, żywi całkiem, obcy. I pusto, dotknąć nic już nie może, nawet bałaganu przed tymi dziwnymi gośćmi nie jest w stanie ogarnąć, a nie godzi się z tak rozrzuconą pościelą, jakby dopiero ktoś w niej spał.

Umieranie też nie było takie ładne ani takie szybkie. Jadwiga mówiła, że jej się marzy tak we śnie, żeby nikomu z rodziny kłopotu nie robić. Basia chciała w kościele, na mszy, żeby mieć na sobie już ten ładny kostiumik, bo słyszała, że inaczej to jakiś obca baba, albo gorzej, facet jakiś, zboczeniec pewnie maluje, pudruje, włosy robi i ubranie wybierze. Przecież Basia sama wiedziała w czym najlepiej wygląda. A ona? Jej serce nie pozwoliło nawet z domu wyjść. Nogi kilka razy się załamały, że z pół godziny się z podłogi zbierała. Włosy wypadły później, zaraz po tym, jak białka oczu były już bliższe świeżej krwi niż ładnej bieli albo żółci chociaż. Najgorzej było, kiedy pęcherz przestał trzymać. Jezu słodki, no to przecież upokorzenie takie, aż Janinka z trójki czuła jak na herbatę przyszła, to przyniosła takie majtki, że najnowsza generacja, od córci ma.

Ale w końcu umarła. Już nie mogła. Przed duchem wyszło z niej jeszcze śniadanie, które wygrało wyścig w przelotku. Kilka innych płynów też się z niej wylało, ale to wstyd aż się przyznać. Dzieci nie chciały ostatni raz zobaczyć matki, trochę szkoda, ale przynajmniej ubrania będą miały czyste. Trzy sąsiadki pomogły, robiły to już kilka razy.

# PSA MA FAMA

Projekt społeczny (artystyczny) uderzający zarówno w mieszkańców Świnoujścia, jak i ogólną świadomość o problemie przepełnionych schronisk. W ramach projektu realizowane są akcje mające na celu poprawę sytuacji zwierzków ze schroniska.



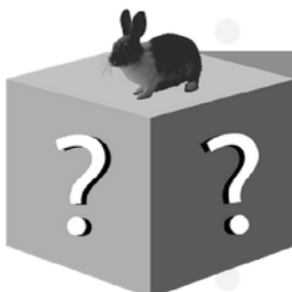
**#PSACERY** Famowicze mogą wcielić się w rolę wolontariuszy i wyprowadzić na spacer psiaka ze schroniska. Do zaangażowania się w akcje zapraszamy szczególnie SEKCJĘ WALETOWĄ

**#FAMAPSYGARNIE** Pełnienie przez Famowych artystów patronatu nad poszczególnymi zwierzkami (DO WYBORU KOTKI, PIESKI I KRÓLIKI ;) ) w trakcie trwania famy - lub także później! <3 - i promowania ich w celu znalezienia stałego domu.



**#REKOTSTRUKCJA** Brzydkie ściany, zniszczone kocie akcesoria i przestrzenie wymagające naszej interwencji - to wszystko postaramy się zrekonstruować & odnowić w ramach tej akcji.

**#FAMAPSYGARNIE** Pełnienie przez Famowych artystów patronatu nad poszczególnymi zwierzkami w trakcie Famy (lub także później!) i promowania ich wśród swoich odbiorców w celu znalezienia stałego domu.



AKCJE Z KAPELUSZA to wszystko, co uda nam się zrobić, a czego wcześniej nie planowałyśmy - śledźcie nas na facebooku i instagramie, żeby być na bieżąco



facebook.com/psamafama



@psamafama



47. FESTIWAL FAMA

Świnoujście  
14-27 VIII 2017

fama.org.pl

## KONCERT FINAŁOWY WSTĘP WOLNY!

**SOBOTA 26 VIII 2017**  
**AMFITEATR**  
**20:30**

**„2050. ŚWIAT WEDŁUG DAVIDA”**

reż.: P. NICZEWSKI,  
kier. muz.: M. PĘDZIWIATR,  
sekcja: GRZECZNI CHŁOPCY,  
scenogr.: J. MARTYNIUK

ORGANIZATORZY

akademickie Biuro  
Kultury i Sztuki  
**ALMA-ART**



36

[www.fama.org.pl](http://www.fama.org.pl)

WSPÓŁORGANIZATOR



DOFINANSOWANIE



Partnerstwo ze Świnoujściem  
Partnerstwo ze Świnoujściem

PARTNERZY



WSPÓŁPRACA MEDIALNA

[iswinoujście.pl](http://iswinoujście.pl)

WSPÓŁPRACA

WSSY